

KRYMINALNE INTRYGI
GABRIELA CABALLERO #1

PABLO POVEDA

GABRIEL CABALLERO



Gabriel Caballero

Pablo Poveda

Original work copyright ©2017 by Pablo Poveda

Tytuł oryginału: Caballero

Okładka: ©2017 Pedro Tarancón

Przekład: Piotr Jarco

Redakcja: Natalia Grzeszczak

www.autornia.com

ISBN 978-83-959582-1-2 (wersja EPUB)

ISBN 978-83-959582-2-9 (wersja MOBI)

Copyright ©2021 by Studio Link Piotr Jarco

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentów niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione. Wykonywanie kopii metodą elektroniczną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym, optycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

*„Dla serca życie jest proste:
bije tak długo, jak może. Potem się zatrzymuje”*

Karl Ove Knausgård

1

Ktoś rzucił urok na miasto. Słonecznemu i gorącemu dniu wiosny o smaku lata towarzyszył hałas samochodów. Powiew powietrza pachnącego morzem i kremem do opalania sprawiał, że wszystko wydawało się proste, jak nuty wypływające z saksofonu Coltrane'a. Oczarowany urodą dziewcząt z Alicante, opaloną skórą, piegami pod oczami, i strojami, które ledwie sięgały kolan, pozwalałem nieść się tłumowi podążającemu aleją Maisonnave. Wydawało mi się, że znajduję się w onirycznej bajce. Brakowało tylko dobrze schłodzonego piwa, które przyniosłoby ulgę mojemu gardłu. Zajrzałem do domu towarowego i zobaczyłem grupki pracowników w firmowych strojach. Na ich twarzach gościł grymas wyższości – braku wychowania nie ukryje i mundurek sprzedawcy.

Mijające dni przypominały nieulożoną kostkę Rubika: nie były to nasze najlepsze chwile z Patrycją. Kochaliśmy się mimo różnic w wielu kwestiach. Ona szukała tego, czego każda kobieta oczekuje od mężczyzny na pewnym etapie znajomości. Patrycja nazywała to zaangażowaniem. Ja wołałem określać odkupieniem. Lęk przed utratą tego, co już osiągnęliśmy i jednocześnie pragnienie posiadania odrobiny więcej. Rozmowy nie prowadziły do niczego dobrego. Niestety, Patrycja oczekiwała, że pewnego dnia stanę się kimś, kim nigdy nie będę: doskonałym i ambitnym narzeczoną, o którym będą mówić wszystkie koleżanki. Chłopakiem z regat. Przystojniakiem z dobrej rodziny z tytułem MBA. Prostakiem, którego widziała na ulicy z blondynką w kabrioletcie Audi. Weekendy w klubie golfowym San Juan. Właśnie do tego dążyła: pozy, poczucia dobrobytu, pozorów powodzenia i uznania w oczach innych. Chciała trąbić o tym na cztery strony świata i wierzyć, że wreszcie nam się udało. Nic ponadto. Ludzie słabsi słuchają opinii innych i wierzą w nie. Problem

polega na tym, że opinie te najczęściej pochodzą od tych, których nie należy słuchać.

Ruszyłem prosto w kierunku alei Federico Soto. Szedłem powoli, ale energicznie, jak bohater teledysku na nowojorskiej Piątej Alei. Czulem się dobrze. Nastąpiła moja ulubiona pora roku i czulem, że żyję w najwspanialszym miejscu wybrzeża śródziemnomorskiego. Gdy przechodziłem obok kawiarni, wpadła mi w oko zgrabna brunetka z jędrnym biustem, ubrana na czarno jak kolor jej oczu. Czasami anioły też pracują, a ona była jednym z nich. Dziewczyna przyglądała się, ciekawa moich dalszych ruchów. Uśmiechnąłem się i pochyliłem głowę w geście pozdrowienia, jak to zwykło się robić kiedyś.

Mężczyzn z mojej epoki bardziej interesują bicepsy i drogie zegarki niż panny za ladą.

Kelnerka odpowiedziała uśmiechem i obnażyła perfekcyjnie białe zęby, pasujące idealnie do mięsistych ust. Zakochałem się w niej, w jej uśmiechu i sposobie bycia, tak jak pokochałem znowu moje życie. Zakochałem się w promieniach słońca, wyciskających pot na czole.

Szedłem dalej. Mijając kiosk spojrzałem na tytuły gazet. Pozory mylą, zarówno moje, tamtej dziewczyny, jak i mojej dziennikarskiej pracy. Informowanie stało się dziś pojęciem abstrakcyjnym, idealizowanym, być może jak miłość i śmierć lub brak drugiej połowy. Mówią, że miłość to stan, który przeżywamy podczas rozłąki z ukochaną osobą. Dziennikarstwo upadło. Bycie reporterem w mieście, takim jak Alicante, gdzie niewiele się działo, stało się zajęciem rzemieślniczym, polegającym na dobrze wykonanej pracy – bardziej na wiarygodnej fikcji niż prawdzie.

Wystrojony w czarne okulary przeciwsłoneczne Wayfarer, zatrzymałem się przed przejściem dla pieszych. W kieszeni zawibrował telefon. Wyjąłem aparat, rozłożyłem etui i zbliżyłem do ucha.

– Gdzie do diabła się podziewasz i czemu nie ma cię w biurze? – wykrzyczał zbolący głos, zachrypnięty od czarnego tytoniu. To był Ortiz, dyrektor redakcji Las Provincias w Alicante. Mój szef.

– Co się dzieje? – odpowiedziałem – Wyskoczyłem coś kupić.

– Daj spokój z wymówkami Caballero! – powiedział głos z drugiej strony. Wydawał się zirytowany. – Powinieneś być tutaj i pisać ten przekłętą artykuł o uniwersytecie. Czemu twoje krzesło obrasta kurzem?

Zupełnie o tym zapomniałem.

Po plecach spłynął mi zimny pot. Ortiz stawiał mi ultimatum, i nie

mogłem znowu dać ciała.

– Już idę, już idę... – odpowiedziałem, wyjmując zgniecioną paczkę Marlboro z tylnej kieszeni spodni. – Artykuł jest prawie gotowy, szefie...

– Lepiej dla ciebie – odpowiedział i rozłączył się, nie dając mi szansy na odpowiedź.

– Do diabła... – powiedziałem do słuchawki.

Zapaliłem papierosa i zaciągnąłem się głęboko.

Zapowiadał się długi dzień pracy.

2

Wybory na rektora uniwersytetu Alicante zajmowały ostatnimi dniami pierwsze strony gazet. Zapowiadało się, że zmiana ta będzie dotyczyć nie tylko studentów. Monika Llopis, młoda, trzydziestoletnia doktor biochemii, z długimi włosami upiętymi w kok i okularami w grubej oprawie, posiadała wszystkie atuty, aby zostać pierwszą kobietą rektor Uniwersytetu w Alicante. Wydawało się, że Llopis, posiada wszystko co potrzebne do rządzenia. Wykształcona w Walencji, władała trzema językami obcymi, umiała rozmawiać z ludźmi, była zawsze elegancka i, a jakże, była dobrze ustosunkowana. Skromna i delikatna Monika Llopis umiała oczarować słuchaczy, zarówno profesorów, jak i studentów, i przekonać ich czego naprawdę potrzebuje Uniwersytet: zastrzyku gotówki.

Do tej pory sprawiała wrażenie osoby przyzwoitej i umiarkowanej. Wiedziała o czym mówi, i nie trzeba było wyjątkowej inteligencji, aby zrozumieć, że była kobietą, której potrzebowaliśmy. Czasy boomu gospodarczego zamieniły uniwersytety w przechowalnię dla polityków. W promieniu mniej niż sto kilometrów można było znaleźć podobne katedry, opuszczone i pozbawione kadry profesorskiej z prawdziwego zdarzenia. Za kilka lat prowincję zaleją absolwenci prawa, sprzedający po domach umowy telefoniczne.

Powodem, dla którego Ortiz powierzył mi tak ważny materiał, i prawdopodobnie ostatni, była bliska przyjaźń, która łączyła mnie z drugim kandydatem na rektora – Antoniem Hidalgiem.

Hidalgo był dziennikarzem z powołania, utytułowanym, z wieloletnim doświadczeniem w dzienniku El País i telewizji publicznej. Był o dekadę starszy ode mnie. Spotkaliśmy się po raz pierwszy na jednym z kursów wakacyjnych. Brakowało mi kilku punktów uniwersyteckich i postanowiłem

zdobyć je na zajęciach kreatywnego pisania. Hidalgo był dla mnie dobrym partnerem. Pomógł mi pokonać kryzys twórczy i zachęcił do napisania pierwszej powieści. Przy kawie na uniwersytecie i rozmowach przy piwie, opowiadaniach Bukowskiego i tajemnicach Thomasa Pynchona, Hidalgo i ja zaczęliśmy zacieśniać znajomość, która zaprowadzi nas do bram nocnego piekła.

Mijały miesiące. Zarzuciliśmy spotkania w kawiarniach, przenosząc je do barów w centrum miasta. Ja byłem na ostatnim roku studiów, a on w ostatnim roku swojego małżeństwa. Niedługo potem nastąpił rozwód i powstała trylogia „Pauza”, dzięki której Hidalgo znalazł się na okładce dodatku niedzielnego El País.

Hidalgo był wiecznie młodym profesorem, przystojnym i wygadany facetem, który żył dobrze ze wszystkimi, nocnym rozpustnikiem, który luzował krawat każdej nocy, gdy wkraczał na ulicę Castaños. Hidalgo, przeklęty pisarz, opuszczony literat, zagubiony w zaułkach miasta jak Oscar Wilde z prowincji, pijany, z uśmiechem blakającym się na ustach.

Uważaliśmy się za parę libertynów z innej epoki: on blondyn, ja szatyn.

Wyznawaliśmy te same zasady moralne i wiedzieliśmy, jak pozbyć się pieniędzy.

Hidalgo startował jako jeden z dwóch kandydatów na rektora w wyborach, które wzbudziły powszechne zainteresowanie. Dla niego to było nowe wyzwanie: wziąć na siebie odpowiedzialność po przeżytym horrorze małżeństwa. Może wygrana uratowałaby sytuację, a żona dałaby mu drugą szansę, zanim go zniszczy. A może, nie. Tak czy inaczej Hidalgo wierzył w magię. Potrafił wykorzystać każdą sposobność, aby zdobyć głosy młodzieży.

Ortiz uparł się, abym zajął się relacjonowaniem wyborów i wycisnął z naszej przyjaźni wszystkie soki. Pracowałem w redakcji niecały rok, ale już wiedziałem, co niedługo nastąpi. Dziennikarstwo przeżywało podle chwile. Brak biznesplanu i nikłe zainteresowanie czytelników popychały nas ku katastrofie. Nadchodzący kryzys oznaczał zwolnienia. Ortiz pracował całe życie w gazecie i nie umiał robić nic innego. Miał do dyspozycji najnowszą technologię, jednak ciągle redagował swoje artykuły używając starych, czarno-białych edytorów tekstu. Temat na wyłączność pozwoliłby nam pokonać konkurencję. Tymczasem w redakcjach roiło się od praktykantów na głodowych stawkach i obrażonych szefów, którzy robili za orkiestrę. Ortiz był starym wyjadaczem i nie sympatyzował z Hidalgiem. Tym niemniej rozumiał, że dziennikarz na stanowisku rektora Universidad de

Alicante byłby dla niego trampoliną do posady wykładowcy.

Usiadłem przed monitorem i ugryzłem kęs kanapki z serem kupionej w sklepie na dole.

Klawiaturę pokrywał kurz.

– Dowiedziałeś się czegoś? – powiedział Ortiz, podchodząc od tyłu i otaczając mnie mieszanką zapachu wody kolońskiej i czarnego tytoniu.

– Nie, a czego się spodziewałeś? – zapytałem. – To są wybory na rektora, a nie na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Nie opowiadaj bajek, Caballero... – odpowiedział. – Będzie dla nas obu lepiej, jeżeli poznasz plany swojego kumpla Hidalga. Przy odrobinie szczęścia skończysz egzaminując swoich kolegów z kierunku...

Ale Ortiz nie mówił o mnie, lecz o sobie.

– Jutro są wybory, a za dwa dni zaprzysiężenie – odparłem. – Mam nadzieję, że znalazłeś kogoś, kto się tym zajmie, bo...

Ortiz oparł dłoń na moim ramieniu.

– Caballero, doprowadzimy sprawę do końca – przerwał mi w połowie. – Potrzebuję, żebyś teraz dał z siebie wszystko. Wiesz, jak to zrobić. Ty to zacząłeś, i ty to zakończysz.

– Nie wkurzaj mnie Ortiz – odpowiedziałem z wyrzutem. – Nie tak się umawialiśmy. Mówiłem ci, że mam plany na piątek. Miałem zająć się relacjonowaniem kampanii, a ktoś inny miał...

– Koniec rozmowy, Gabriel – przerwał mi ponownie. – Nie mogę pozwolić, aby przez jakiegoś stypendystę wszystko poszło na marne... Nie, nie w ten dzień.

Z całej siły zacisnąłem pięść i jednym uderzeniem zmiażdżyłem kanapkę na stole.

Ortiz klepnął mnie w ramię. Przytłaczająca cisza wypełniła redakcję. Na moje ramię spadło kolejne klepięcie, tym razem głośniejsze od poprzedniego.

– Przyłóż się, geniuszu.

Następnie odwrócił się, poszedł do swojego biura i zatrzasnął drzwi.

Szef znał moje słabe strony. Jedno zdanie więcej i straciłbym pracę na zawsze.

Pisanie to jedyna rzecz, na której się znałem, i mimo bardzo kiepskiej płacy, nie zmobilizowałem się do napisania artykułu, który stałby się przepustką do wielkich gazet.

Chwyciłem słuchawkę starego telefonu i zawahałem się. Patrycja nie

wybaczy mi tego. Pomyślałem, żeby wstać, pójść do gabinetu szefa i powiedzieć mu, że odchodzę. Ale nie zdobyłem się na to. Odblokowałem więc komputer i włączyłem muzykę, aby dodać nieco poetyckiej dramaturgii złym wiadomościom, które zamierzałem przekazać Patrycji.

Nasze plany po raz kolejny zostają odroczone z powodu pracy.

Mój związek szedł na dno jak Titanic, a ja dusiłem się, jak DiCaprio, w ścianach przeklętej redakcji.

Przygotowałem kolejną kawę i postanowiłem skupić się na profilu Moniki Llopis. Z jakiegoś powodu jej historia wydawała mi się bardziej interesująca niż mojego towarzysza nocnych wypadów.

Żądny wiedzy reporter powinien, oprócz sprawdzenia oficjalnych źródeł, przetrząsnąć każdy zakamarek. Sieć stała się studnią pełną paliwa informacyjnego bez daty ważności. Dawniej historię można było dość łatwo zmanipulować. W dobie internetu informacja cyfrowa nie ulega przeterminowaniu.

Dlatego też odłożyłem na bok notatki prasowe oraz dokumenty akademickie i zająłem się profilami społecznościowymi. W dzisiejszych czasach możliwość fantazjowania na dowolny temat była w zasięgu kliknięcia myszą. Nie miałem wątpliwości, że profil Llopis na Facebooku zaspokoi moje potrzeby.

Nieciekawe zdjęcie profilowe z palmami w tle, pospolite i bez podtekstów. Strona utajniona przed nieznanymi. Wbrew pozorom, taka właśnie była: wyrachowana, zimna i zapobiegliwa. Siedząc przed monitorem czułem się jak Alicja, goniąca króliczka i bliska wślizgnięcia się do jego norki.

Co ukrywasz, Moniko? – pomyślałem.

Wróciłem do dokumentów akademickich i w niecałe dziesięć minut znalazłem listę osób, które studiowały z nią biologię molekularną na Universidad de Valencia. Jedno imię i dwa nazwiska doprowadziły mnie do innej strony, a ta do kolejnej – dawnej grupy studenckiej.

Wtedy zobaczyłem jej nazwisko, a obok adres poczty elektronicznej.

Dzięki różnym wskazówkom, które otrzymałem podczas obsługi prasowej konferencji poświęconej bezpieczeństwu informatycznemu w centrum kulturalnym CAM, szybko dotarłem do albumów z prywatnymi zdjęciami.

– Brawo, Gabriel – powiedziałem na głos. Nikt mnie nie usłyszał. Ortiz pewnie był pochłonięty grą w pokera online lub oglądał jakiś film w swoim

biurze.

Szybko jednak przeżyłem spory zawód. Monika Llopis potrafiła rozdawać karty.

Fotografie z albumu były jedynie wycinkami z prasy lub zdjęciami z różnych uroczystości publicznych.

Monika na konferencji.

Monika uśmiechająca się przed kamerą.

Monika w towarzystwie mężczyzn.

Zegar wskazywał siódmą wieczorem. Zmarnotrawiłem cholerny dzień i wciąż nic nie miałem.

Emocje opadły wraz z kurzem z klawiatury.

Wkrótce ktoś zacznie szukać winnego. Moje zdenerwowanie rosło z powodu presji czasu, i lenistwa, które prześladowało mnie od ponad miesiąca.

– Do cholery, Llopis, pogrywasz ze mną – powiedziałem do siebie.

Gdy zamknąłem przeglądarkę i wróciłem do edytora tekstów, coś mnie oświeciło. Otworzyłem z powrotem album prywatnych zdjęć na profilu facebookowym kandydatki.

Wśród fotografii mężczyzn była jedna twarz, która się powtarzała.

Raz, dwa... a nawet trzy razy.

Mężczyzna nieco wyższy od niej, zawsze w marynarce, ponad trzydziestkę, szatyn, włosy zaczesane do tyłu.

W przeciwieństwie do Antoniego Hidalga, Monika Llopis była aż nadto znana w swoich kręgach jako kobieta, która przedkładała pracę nad życie osobiste.

Wreszcie udało mi się zakraść do jej norki.

3

Po raz kolejny wskazówki zegara były szybsze od moich nóg.

Przekłete poranne wermuty w Sento, jednym z moich ulubionych barów tapas w mieście, sprawiły, że straciłem poczucie czasu. Zadzwoił telefon.

To nie był Ortiz, tylko Pacheco, współpracujący z nami fotograf. Dzwonił z auli głównej Universidad de Alicante.

Monika Llopis miała zostać zaprzysiężona pierwszą kobietą rektor w historii uniwersytetu.

Miałem godzinę, aby zdążyć.

Hidalgo nie dał rady i musiałem zadać sobie trud świętowania w jego imieniu. Wszystko zdarzyło się tak szybko i niespodziewanie, że nie mogłem nawet skojarzyć, jaki jest dzień tygodnia.

Zapłaciłem rachunek i wyszedłem na ulicę w poszukiwaniu taksówki, która zawiozłaby mnie do kampusu San Vicente.

Czerwcowy lepki pot spływał mi po plecach. Przypuszczałem, że plama na plecach jest tak duża, jak numer startowy Ronaldo.

Gdy tylko taksówkarz zostawił mnie przed aulą główną, ruszyłem biegiem, potrącając raz po raz ciekawskich przechodniów. Główna aula uniwersytecka był dużym dziedzińcem, na którym znajdowały się trzy kwatery sędziów, amfiteatr i scena o długości prawie dwudziestu metrów. Sala była wypełniona gośćmi po brzegi. Gdy wszedłem do holu zauważyłem w oddali znane mi twarze: najemników prasy, polityków, prezydenta rządu Walencji oraz Pacheco z aparatem fotograficznym.

Przejechałem się między fotelami, czym zwróciłem uwagę przemawiających, i przeszkodziłem gościom przysłuchującym się usypiającej mowie byłego rektora, w której zachwalał swoją następczynię.

Monika Llopis ubrana była w niebieski strój wyjściowy, dyskretny i oficjalny, który dodatkowo podkreślał jej markę własną.

Spojrzałem na jej twarz. Wydawała się zdenerwowana, podekscytowana chwilą.

W cieniu, który otaczał publiczność, dostrzegłem Hidalga. Siedział w kącie obok innego profesora z wydziału humanistycznego. Nie wyglądał na osobę, która dobrze znosi porażkę.

– Już jestem... – szepnąłem do Pacheco. – Coś straciłem?

– Ledwie zdążyłeś, Gabriel – powiedział dosadnym tonem. – Co to za odór?

– Zajmij się zdjęciami, za to ci płacimy – odpowiedziałem. – Od zadawania pytań jestem ja.

Nie spojrzał na mnie, zamilkł i dalej strzelał seriami ze swojego obiektywu.

Monika Llopis wstała i skierowała się w kierunku estrady. W sali nastąpiła trudna do zniesienia cisza.

Z właściwą dla siebie delikatnością uśmiechnęła się lekko i słodko odchrząknęła. Spojrzała na leżące przed nią kartki i stuknęła w mikrofon. To był jej moment. Za chwilę miała rozblysnąć gwiazda.

Jednak coś się wydarzyło.

– Rób zdjęcia! – powiedziałem, chwytając Pacheca za ramię.

Kobieta chwyciła się oburącz mównicy. Słabła na oczach wszystkich. Nie mogła złapać oddechu. Przyjrzałem się jej twarzy i zrozumiałem, że jest na skraju omdlenia. Nagle pobladła, a mięśnie twarzy zaczęły drżeć. Llopis nie mogła oprzeć się słabości. Wykonała mały krok do przodu, a następnie cofnęła się. W ciągu kilku milisekund przyszła rektor runęła na scenę, nieprzytomna.

– Masz to? – zapytałem.

Rektor wstał i ruszył na ratunek.

– Dzwońcie po pogotowie ratunkowe! – wykrzyknął mężczyzna.

Tłum ruszył z siedzeń w kierunku podium.

– Czy to zawroty głowy? – zapytał prezydent, nie pamiętając o włączonych mikrofonach.

– Niezły zawrót głowy... – rzekł dziekan.

Jeden z gości podniósł rękę, chwając się tytułem doktora medycyny. Zręcznie wskoczył na scenę i sprawdził puls kobiety.

– Nie wygłupiaj się, Monika... – powiedział lekarz. Rozmowę słyhać

było w całej sali. – Dalej kobieto, bądź silna...

– Nie żyje? – zapytał prezydent zaaferowany, jak osoba zwiedzająca zoo.

– Brak tętna, trzeba ją reanimować.

– Jesteś jej znajomym? – zapytał dziekan.

– Jestem z wydziału medycyny – odpowiedział przygnębionym głosem mężczyzna. – Jakie to, kurwa, ma teraz znaczenie?

– Co za nieszczęście dla rektoratu... – skomentował ktoś stojący na dole.

Ekipa pogotowia – trzy kobiety i dwóch mężczyzn – wtoczyła się do sali jak pociąg.

– Wszyscy na zewnątrz! Proszę! – krzyknęła kobieta szefująca zespołowi. – Ale już!

Zerknąłem na salę i zobaczyłem, jak Hidalgo wykrada się bocznymi drzwiami. Nie wierzyłem własnym oczom. Zaproszeni zaczęli wariować.

Co teraz? Nowa rektor umierała kilka chwil przed zaprzysiężeniem.

Chęć poznania faktów i późniejszego snucia fantazji, wzięła górę. Wymknąłem się kolegom z prasy i ruszyłem z opuszczoną głową w przeciwnym kierunku. Starłem się by kobieta z pogotowia nie domyśliła się, kim jestem. Jedynym sposobem, aby zostać na miejscu było ukrycie się w cieniu foteli. Tak też zrobiłem: położyłem się i zacząłem nasłuchiwać.

– Gównu, José Luis... Nie oddycha – powiedział jeden z lekarzy.

– Podaj miligram epinefryny – odpowiedział inny.

Ciało Moniki leżało na podłodze.

– Nie reaguje. Tracimy ją... – dodała jedna z kobiet.

– Ja pierdolę, Juana, nie zapieszaj...

– Zróbcie coś! Na miłość boską! – wykrzyknął były rektor, zasłonił twarz rękoma i poluzował krawat.

Poczułem, że ktoś dotyka moją lewą stopę.

– Proszę pana? – powiedziała lekarka, która przed chwilą wyrzuciła innych dziennikarzy.

– Tak? – Odpowiedziałem, jak roztropny czterolatek.

– Będzie pan łaskaw opuścić to miejsce natychmiast, nalegam – rozkazała groźnie.

Odwróciłem się. Zobaczyłem kobietę z karbowanymi włosami. Patrzyła na mnie z wyrzutem zawiedzionej matki. Podniosłem się i bez szemrania wyszedłem, udając, że żałuję tego, co zrobiłem.

Miałem potrzebę zapalić, porozmawiać z Hidalgiem, uporządkować myśli.

Wyszedłem z budynku i skierowałem się ku bramie.

Wyjąłem papierosa, zapaliłem i głęboko zaciągnąłem się.

Gdy wypuszczałem dym, wyczułem czyjąś obecność. Ktoś mnie obserwował.

Obok mnie stał mężczyzna w okularach w drucianej oprawce, średniego wzrostu. Ubrany był we wzorzysty sweter i dżinsy. Można było dostrzec u niego pierwsze oznaki łysiny, lekką nadwagę, ale nie wyglądał na kogoś niebezpiecznego. Przeciwnie.

– Co się dzieje? – zapytałem zblazowany.

– Czy mógłby mnie pan poczęstować jednym... – odpowiedział miękkim i melodyjnym głosem. Zdawał się być bardziej zaprzątnięty swoimi myślami niż moją obecnością. Wyciągnąłem papierosa. Podziękował i zapalił go od benzynowej zapalniczki, spojrzął na filtr i zaciągnął się. Staliśmy w ciszy – zastanawiałem się, kto pierwszy ją przerwie.

– Jesteś z prasy? – zapytałem bez zastanowienia, choć wiedziałem, że nie należał do gremium.

– Ja? Nie... – odpowiedział mężczyzna patrząc na mnie z wdziękiem. – Wcale nie, skądże... Jestem wykładowcą... Niezłe, od lat nie paliłem.

– To ci na pewno nie pomoże.

Mężczyzna wydał się zaskoczony.

– Człowieku. W tej sytuacji... – zaczął przejęty – Co robimy?

– Więc, moim zdaniem, każdy w swoją stronę...

– To, co się stało, stawia nas wszystkich w trudnym położeniu. Wątpię, aby teraz ktoś chciał kandydować na stanowisko rektora.

– Przynajmniej uniwersytet zdobędzie trochę rozgłosu, nie uważasz?

– Natomiast ty jesteś dziennikarzem. Tak?

– Masz niezły węch.

– Nie. Rzecz w tym, że mówisz zbyt dużo głupot – odpowiedział mężczyzna. – Jak wszyscy dziennikarze... To, co stało się Monice Llopis, to poważna sprawa... Mam nadzieję, że dla większego nakładu nie splamicie jej nazwiska.

– Dzisiaj nikt nie kupuje gazet, tak więc oszczędź sobie gadania – odpowiedziałem. – Jeszcze nie wiemy, co tam się wydarzyło. Skąd znałeś Llopis?

Mężczyzna rozejrzał się wokół. W pobliżu nie było nikogo.

– Byliśmy kolegami. Pracowaliśmy wiele lat razem.

– Więc, ty też jesteś lekarzem.

– Nie, jestem doktorem. Biologiem, dla ścisłości – podkreślił. – Monika i ja pracowaliśmy w tym samym departamencie... Co za pech, co teraz zrobimy... Mam nadzieję, że dla dobra nas wszystkich, nie wybiorą tego palanta z Wydziału Nauk Humanistycznych...

– Myślisz, że ktoś miał interes w tym, aby pozbyć się Llopis? – zapytałem ignorując przytyk w stronę mojego przyjaciela.

– Więc, nie, nie wiem... Ale nie wykluczałbym tego – odpowiedział mężczyzna. – Wszystko jest możliwe.

Echo ostatnich sylab pobrzmiwało mi jeszcze w uszach, gdy zobaczyłem postać wychodzącą z budynku. Zaintrygowany skupiłem się na jej twarzy, zapominając o powtarzanych jak mantra pytaniach doktora. To był ten sam człowiek, którego widziałem na zdjęciach w prywatnym folderze Moniki Llopis. Nieznajomy, którego imię niebawem poznam.

Co on do diabła tam robił? – zapytałem się w duchu.

Gdy tylko wyszedł, w drzwiach pojawiła się ekipa pogotowia niosąca ciało Moniki okryte kocem termicznym. Natychmiast, jak hieny, zbiegli się dziennikarze.

Zabierali ją do szpitala.

Nie miałem wątpliwości.

Żywą lub martwą. Ale to wiedzieli tylko lekarze.

Cisnąłem niedopalek na ziemię i ruszyłem w nieznanym kierunku, zostawiając w tyle uciążliwego naukowca.

Szedłem ukradkiem za mężczyzną, udając, że rozmawiam przez telefon komórkowy. Szara marynarka opinała szerokie ramiona. Wydawał się tak przejęty, że nawet nie zauważył, że ktoś go śledzi. Mężczyzna wszedł na parking, wyjął pilota i chwilę później zaświeciły się przednie reflektory imponującego czarnego BMW X3. Spojrzałem na rejestrację i zapisałem ją w telefonie.

Mężczyzna uruchomił samochód, zmierzył mnie wzrokiem i chcąc mnie przestraszyć, ruszył z piskiem opon. Potem zniknął na asfaltowej szosie prowadzącej do drogi szybkiego ruchu.

4

Po powrocie do auli uniwersyteckiej, odniosłem wrażenie, że sytuacja znacznie się pogorszyła. W oddali dostrzegłem Hidalgo rozmawiającego z innymi przedstawicielami uniwersytetu i grupą reporterów z konkurencji. Prezydent Generalidad w asyście eskorty opuścił uniwersytet. Jego służbowa limuzyna zniknęła w oddali. Hidalgo stał ze skrzyżowanymi rękoma, jak Superman. Mówił marszcząc czoło, a ręce drżały mu ze zdenerwowania.

Podszedłem do nich – mówiąc poetycko – krokiem osoby opuszczającej ulubiony bar. Hidalgo zmierzył mnie wzrokiem, lecz nie powiedział ani słowa.

Nie było mu do śmiechu.

Uszanowałem jego prośbę i zachowałem moje zuchwalstwo na inną okazję.

– Czy coś wiadomo? – zapytałem torując sobie drogę.

– Jak już mówiłem... – wyjąkał Antonio. – Oczekuję, że potraktujecie zdarzenie odpowiednio delikatnie, wicie. Już niedługo sprawę rozdmucha prasa krajowa, o ile już się to nie stało. Prezydent odjechał w tak kiepskim nastroju, że lepiej nie mówić.... To tylko dodatkowo pogorszy nasz wizerunek.

– Nie bądź takim pesymistą, Hidalgo – powiedział prorektor, łysy mężczyzna z wąsem, w obcisłej tweedowej marynarce. – Tego typu nieszczęścia zdarzają się wszędzie...

– Ludzie gadają, Ramirez, gadają za dużo... – powiedział z wyrzutem Hidalgo. – W obecnej sytuacji politycznej nie zdziwią mnie prawicowcy wytykający mnie teraz palcami.

– Prawicowcy? Ciebie? – zapytał się prorektor. – Przecież ty jesteś...

Zanim Ramírez skończył zdanie, przed nami zaparkowały dwa samochody patrolowe policji. Otworzyły się drzwi i rozmowa urwała się jak letnia burza. Z pierwszego pojazdu wysiadła para umundurowanych funkcjonariuszy i skierowała się w stronę budynku.

Z następnego samochodu wysiadło dwóch mężczyzn, jeden z nich bez munduru. Młodszy, umundurowany, rzucił kilka słów i ruszył z pozostałymi funkcjonariuszami do budynku. Policjant w cywilnym stroju przypominał stracha na wróble: przygniecione włosy, wąs pruski zakrywający wargę, i rysy twarzy naznaczone nieustannie złym nastrojem. Klasyka. Fachowiec. Domyśliłem się, że to inspektor. I że za chwilę zadzwoni do mnie Ortiz, wrzeszcząc, dlaczego nie ma mnie przy biurku i nie piszę, prawdopodobnie, reportażu roku.

– Dzień dobry, panowie... – powiedział mężczyzna, ocierając czoło bawełnianą chustką. Intensywny upał wczesnego popołudnia wyciskał plamy potu pod pachami. Inspektor ubrany był w płócienne spodnie, kastylijskie mokasyny i schowane w spodnie, turkusowe polo Lacoste z krótkim rękawem.

Wyciągnął i pokazał odznakę, po czym schował ją z powrotem.

Jego obecność nie ucieszyła obecnych.

– Jeśli możemy panu w coś pomóc, inspektorze... – powiedział Ramírez.

– Botella... – odparł. – Inspektor Botella z Wydziału Zabójstw.

– A więc może chodzić o zbrodnię...

Inspektor zmierzył mnie wzrokiem.

– Dziennikarz?

– Z Las Provincias.

– Czy był pan w auli, kiedy zemdląła panna Llopis?

– To nie było omdlenie... – odpowiedziałem inspektorowi drżącym głosem.

– Nikt nie zna przyczyny – uciał. – Jej ustalenie to nasze zadanie.

– Oczywiście, ale podobnie jak inni przypuszczam...

– Więc jest pan świadkiem.

– Już mówiłem panu, że tak. – odpowiedziałem. Nie zrozumiałem jego zagrywki.

– Proszę poczekać tutaj, dla pańskiego dobra. Za chwilę do pana wrócę – odpowiedział. Zwrócił się do Ramírezza i Hidalga i wymierzył w ich

kierunku palec wskazujący prawej ręki. – Teraz chciałbym porozmawiać z panami na osobności. Możemy?

Hidalgo przytaknął i obrócił się w moją stronę.

– Bądź ostrożny, Gabriel.

Prorektor Ramírez, zdenerwowany sytuacją, szedł dwa kroki przed inspektorem Botellą, który zmierzał w kierunku auli uniwersyteckiej.

Stojąc przed budynkiem, po raz kolejny odniosłem wrażenie, że coś mi ucieka.

Numer rejestracyjny samochodu. To wszystko, co miałem. To, i czekanie na znak życia od Hidalga.

Nim porwała mnie nawałnica myśli, w mojej kieszeni zawibrował telefon.

To był Ortiz. Wiedziałem, co mnie czeka.

– Cały pierdolony świat mówi o tym, co się wydarzyło! A ty! Ciekawe, kurwa, gdzie się podziewasz! – zaryczał do słuchawki.

– Ludzie nie mają o niczym pojęcia, Ortiz – odpowiedziałem po chwili ciszy. – Przestań krzyczeć na mnie, do cholery, albo przestanę odbierać telefon.

– Daj sobie na wstrzymanie, Caballero....

– Mam nadzieję, że po tym, co ci powiem, zaczniesz mnie lepiej traktować.

– Nie wciskaj mi kitu! Caballero!

– Już dobrze, już dobrze... – odpowiedziałem tłumiąc uśmiech. Wyobrażałem sobie Ortiza na drugim końcu linii, z poczerwieniałą szyją i pooraną żyłami skórą oskubanej kury. – Z miejsca zdarzenia wyrzucono wszystkich dziennikarzy, ale na szczęście zostałem ja, bo byłem sprytniejszy... Wkrótce przyjechała policja... Kojarzysz inspektora Botellę?

Ortiz wstrzymał oddech.

– Nie. – odpowiedział. – Butelka?

– Tak, do cholery... – powiedziałem. – Wydział zabójstw, Ortiz. Wydaje mi się, że coś podejrzewają.

– Czyś ty zgłupiał? – zapytał z pogardą. – Wysłał go prezydent, nie miej wątpliwości, to zwykła biurokracja... No właśnie... Co robisz, że cię tu nie ma? Piszesz ten cholerny artykuł do jutrzejszego wydania?

– Ależ tak, do cholery. – wykrzyknąłem. – Inspektor chce mi zadać parę pytań, wiesz? Jako świadcowi...

– Na litość boską, pospiesz się i wracaj do cholery... Ci z wiadomości

mają kilka godzin przewagi nad nami, a z Walencji ciągle dzwonią i pytają, co się dzieje... Jeśli nie przyniesiesz czegoś wartego uwagi, jutro twoje miejsce zajmie ktoś inny... I moje też.

– Wyluzuj, człowieku, przyniosę bombowy materiał.

– Prędeż mi kaktus wyrośnie, Caballero... – odpowiedział łagodząc ton. Ortiz był jak pies, który szczeka, ale nigdy nie gryzie. Nawet pozwalał się pogłaskać. Znowu go pokonałem. – Rób swoją robotę, sprawdź, co możesz i nie wkurzaj mnie Mamy wystarczające urwanie głowy. Zrozumiałeś?

– Ostatnia rzecz, Ortiz – odparłem. – Znasz kogoś, kto pracuje w Wydziale Komunikacji, prawda?

– Tak, mam tam szwagra – odpowiedział niedbale – ale jeśli chcesz mi powiedzieć, że dostałeś mandat...

– Zrób mi przysługę. Weź coś do notowania i zapisz tę rejestrację – poinstruowałem go. Sprawdziłem w telefonie wcześniej zapisane numery i podyktowałem je. – Sprawdź do kogo należy ten samochód.

5

Ortiz nie działał wiele. Samochód był zarejestrowany na niejakiego Alejandra Macię, młodego przedsiębiorcę, który odniósł sukces wprowadzając na rynek kilka start-upów. W prowincji zaczęły pojawiać się pierwsze jaskółki innowacyjnych przedsiębiorstw nowej generacji. Wnukowie tych, którzy w latach pięćdziesiątych rozkręcili firmy obuwnicze, dzięki studiom zagranicą importowali modele finansowe z Ameryki Północnej. Część zamożnej młodzieży nie przekroczyła nawet progu uczelni i wolała wydać wszystko na szampana oraz na wycieczki jachtami rodziców na Ibizę. Ci, którzy wybrali najprostszą drogę, żyli z dochodów z majątku. Jednak najsprytniejsi, wykorzystali boom akademicki jako wymówkę, aby nie zadawać się z byle kim. Wybrali najlepsze szkoły biznesu w Londynie, Szwajcarii, Bostonie lub Kalifornii. Parę lat później spożytkowali kontakty i nabytą wiedzę, aby uniezależnić się i zwrócić zainwestowane w nich pieniądze rodzicom.

Alejandro Maciá należał do tej ostatniej grupy.

Poszukałem informacji o nim w internecie, ale nie udało mi się znaleźć żadnego profilu społecznościowego, poza stroną małego start-upu związanego z branżą farmaceutyczną, którego był CEO.

Gdy skończyłem rozmawiać przez telefon, wrócił inspektor Botella, by zamienić ze mną kilka słów. Po spotkaniu z Hidalgiem i prorektorem Ramírezem wydawał się spokojniejszy. Rozmowa była krótka, bo niewiele mogłem wnieść do śledztwa. Botella ostrzegł mnie, żebym nie robił głupstw. Nic z niego nie wyciągnąłem. Inspektora wysłano na uniwersytet, aby zaprowadził nieco porządku, a na jego twarzy malowało się niezadowolenie kogoś, kto musi pracować w dzień wolny od pracy.

Z uprzejmości wymieniliśmy się wizytówkami i zaoferowałem mu

pomoc we wszystkim, co było związane ze sprawą panny Llopis.

Tej samej nocy konkurencja zasadziła się w sąsiedztwie Szpitala Nieustającej Pomocy usiłując zdobyć cokolwiek, czym można by wypełnić strony gazet. Oficjalnie panna Llopis zmarła na skutek zatrzymania akcji serca. Tak nam przynajmniej powiedziano. Według badań, w Hiszpanii co pół godziny ktoś umiera na zawał. Llopis wpisała się tylko w statystykę.

Nieszczęście, dramat.

Po klęsce informacyjnej Ortiz dał mi dzień wolny na uporządkowanie myśli i odpoczynek. Patrycja spotykała się ze swoimi przyjaciółkami i obrażona z powodu wczorajszych wypadków, nie odbierała telefonu. Wybrałem więc numer Antonia Hidalgo i umówiliśmy się na wspólny obiad.

Spotkaliśmy się pod restauracją Aldebarán, luksusowym miejscu z tarasem widokowym na najwyższym piętrze Królewskiego Klubu Regatowego Alicante. Hidalgo, mimo mojego sprzeciwu, nalegał na to miejsce. Uwielbiałem drogie restauracje i dobre jedzenie, ale nie był to najlepszy finansowo moment w moim życiu. Antonio kazał mi wyluzować się i korzystać z życia. Szef restauracji zaprowadził nas do okrągłego stołu dla czterech osób obok przeszklonych drzwi, przez które można było podziwiać statki zacumowane w porcie, góry i strzegący miasto zamek Św. Barbary. Spojrzałem na bukiet kwiatów na stole, próbując sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni jadłem na białym obrusie.

– Jak się masz? – zapytał się.

– Fatalnie – odpowiedziałem. – Myślę, że Patrycja mnie zostawi.

– Nie przejmuj się, świat jest pełen Patrycji.

Hidalgo był mniej rozmowny niż zwykle. Powolny rytm słów i fałszywy spokój wzbudziły moje podejrzenia. Luźna konwersacja nie wykraczała poza sprawy codzienne tak, jakby to, co się wydarzyło, było tylko nieszczęśliwym wypadkiem. Ojcowskie rady, dwuznaczne zdania. Postawiłem się na jego miejscu i zrozumiałem, że nie miał ochoty poruszać bolesnych tematów. Nic dziwnego, minęły zaledwie dwie doby. Na początek zamówiliśmy butelkę białego wina, ośmiornicę z grilla i tatar z tuńczyka. Kelner napelnił kieliszki. Hidalgo wzniósł toast.

– Za życie, Gabriel – powiedział nostalgicznie i uniósł kieliszek. –

Dzisiaj jesteśmy tutaj, nad morzem, i cieszymy się chwilą. Jutro możemy wachać kwiatki od spodu.

– Zdrowie, przyjacielu – odpowiedziałem.

Napiliśmy się. Spojrzałem na statki wygrzewające się w południowym

słońcu.

– Co chciał inspektor Botella? – zapytałem.

Hidalgo podniósł wzrok.

– Nic nadzwyczajnego... – odpowiedział. –Wiesz... rutynowe pytania dotyczące naszej relacji ze zmarłą i podobne sprawy... Nie wyglądał na zachwyconego swoją pracą.

– To powściągliwy człowiek – powiedziałem. – Jednak coś mi tu nie pasuje, Antonio.

– Mówisz o sobie, czy o tym, co się stało?

– Zgadnij — odpowiedziałem po kolejnym kęsie ośmiornicy. – Z całym szacunkiem, przyjacielu... Obaj wiemy, że Llopis, pomimo twoich dobrych stosunków ze studentami i niektórymi wydziałami, musiała wygrać,

– I to zrobiła. To była jej uroczystość zaprzysiężenia na rektor... – odpowiedział i uśmiechnął się. – Możesz mi przestać o tym przypominać, dobrze?

Był ironiczny.

– Nie wydaje ci się to dziwne? Pierwsza kobieta rektor i trafia do grobu, zanim zdąży podziękować swoim wyborcom?

– Jasne, że tak. – powiedział i jednym haustem wypił do dna. – Niestety, które spotykają innych, mogą również przytrafić się tobie.

– Była zbyt młoda, aby umrzeć na atak serca, dziwne...

– Nie czytałeś wiadomości, Gabriel? Co trzydzieści minut...

– Tak – wtrąciłem się. – Wydaje mi się, że nie masz ochoty kopać głębiej. Prawda?

– Niewiele mogę zrobić, przyjacielu... – powiedział i spojrzał na kieliszek. – Przewiduję mroczną przyszłość dla siebie, dla Uniwersytetu..., dla wszystkich. Wolalbym przegrać i żeby mi dali spokój. Nie miej wątpliwości, że przyjdą po mnie.

– Podejrzewasz kogoś?

– Sam zacząłeś tę rozmowę.

Delektowaliśmy się ośmiornicą i wyśmienitym tatarem. Poprosiliśmy o drugą butelkę wina. Trunek wprowadził nas w dobry nastrój i zrelaksował Hidalgo. Kelner ponownie napełnił kieliszki i na główne danie zamówiliśmy czarny ryż z halibutem. Talerze z przekąskami były już prawie puste.

– Co wiesz o niejakim Alejandro Macii?

Pierwszy cios. Antonio zakrztusił się winem.

– Widywałem go ostatnio, jak włóczył się po uniwersytecie... –

odpowiedział nieprzekonująco. – Chyba był przyjacielem Llopis.

– Wczoraj też był w auli – powiedziałem.

– Skąd go znasz? – zapytał z zaciekawionym. Słońce za oknem przybrało pomarańczowy odcień. Było pięknie. Wyjątkowo.

– Gdy przygotowywałem profil Llopis, widziałem jego twarz na wielu oficjalnych zdjęciach – wyjaśniłem. – Nie wiedziałem, kto to jest, aż zobaczyłem go w auli. Kiedy Llopis dostała ataku i przyjechało pogotowie, ten kretyn uciekł.

– Rozmawiałeś z nim?

– Nie.

– To skąd wiesz, jak się nazywa?

– Śledziłem go – odpowiedziałem. – Spisałem numer rejestracji.

– Pewnego dnia zarobisz w zęby, Caballero.

– Nie ma łatwej drogi do nieba.

Hidalgo zaśmiał się.

– Nie wiem, co spiskowała Llopis z tym cwaniakiem... – rzucił nieco zirytowany Hidalgo. W miarę jak wino zaczynało krążyć w żyłach, Antonio stawał się sobą i mówił, co naprawdę czuje: – Bo jest cwaniakiem, nikim innym..., ale nie takim jak my, tylko sukinsynowatym cwaniakiem, który za wszelką cenę próbuje wykorzystać innych.

To osobiste wyznanie wzbudziło moją ciekawość.

– Co was łączyło?

– Już ci powiedziałem.

– Dalej, nie bujaj... Przecież się znamy.

– Znajomość czysto zawodowa, Gabriel – odpowiedział patrząc mi w oczy. – To straszne, co się stało i dlatego czuję się tak, jak się czuję. Przytłacza mnie myśl, że w przyszły poniedziałek jakiś duch będzie błąkał się po korytarzach uniwersytetu. Nie jestem zbyt wierzący, ale takie rzeczy przyprawiają mnie o dreszcze.

– Zawsze możesz wezwać pogromców duchów. Prawda?

Hidalgo ponownie spojrzał mi w oczy. Teraz był sobą. Roześmiał się. Wznieśliśmy kolejny toast – za nas, za piękne kobiety przechadzające się po przystani.

Słońce przygrzewało, jakby już było lato. Zanotowałem w głowie kilka informacji, nad którymi powinienem popracować później. Postanowiłem odłożyć temat na bok i spędzić miłe chwile w towarzystwie przyjaciela, z dala od gromadzących się nad nami czarnych chmur.

Podano ryż, kawę i whisky.

Kolejny raz, jak dwa ptaki bez sił, daliśmy się ponieść śródziemnomorskiej bryzie, a zmierzch rzucił nas w niegościnnie zakamarki miasta.

Zasnąłem w ubraniu. W ustach miałem trampka. Nocna impreza wymknęła nam się spod kontroli.

Spojrzałem na budzik. Była piąta rano.

Spałem trzy godziny.

Patrycja nie wróciła i to mnie zaniepokoiło. Obudził mnie chłód prześcieradła. Moje ciało było zsynchronizowane z jej ciałem. Kiedy nie było jej w domu po północy, próba zaśnięcia stawała się koszmarem.

Niezdarnie wsunąłem rękę do kieszeni dzinsów i wyciągnąłem komórkę.

Miałem rozpalone czoło i ciągle czułem się wstawiony. Nadchodził kac. Potrzebowałem wziąć prysznic i napić się wody. Wzięłem głęboki oddech i spojrzałem na ekran telefonu. W rejestrze nie było żadnego nieodebranego połączenia od Patrycji.

– Gdzie jesteś? – pomyślałem na głos.

Nagle telefon zawibrował. Zaskoczony, wypuściłem go z rąk.

Pomyślałem, że dzwoni Patrycja z wiarygodną wymówką, lub że usłyszę jej radosny i niewyraźny z powodu alkoholu głos.

Każda z tych opcji uspokoiłaby mnie.

Ale w telefonie usłyszałem mężczyznę.

– Gabriel Caballero? – powiedział głos z lekkim pogłosem na drugim końcu linii.

– Inspektor Botella? – odpowiedziałem. Była piąta rano. Ten człowiek był nieprzewidywalny.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno... lub, zależnie od tego jak się spojrzysz, tak wcześnie – powiedział. – Myślałem, że zastanę pana w pracy. Wie pan, co się mówi o dziennikarzach...

Mylił się.

– W czym mogę panu pomóc? – odparłem bez zwłoki.

– Dzwonię, bo chciałbym spotkać się z panem – powiedział – w miarę możliwości w miejscu neutralnym. Sądzę, że mógłby mi pan pomóc w pewnej kwestii, a ja mógłbym pomóc panu w innej.

– Już panu mówiłem, że nic nie wiem o panie Llopis.

– Posłuchaj pan, Caballero – powiedział stanowczo. – Nie o to chodzi, proszę się nie denerwować. Wiem jednak, że niedawno prosił pan o poufne

informacje dotyczące właściciela pewnego pojazdu... A to zwróciło moją uwagę, wie pan? Między nami mówiąc, rozmawiamy o procederze nie do końca legalnym.

Dotknąłem czoła. Było rozpalone. Alkohol trawił moje ciało, a inspektor Botella szantażował mnie o piątej rano.

– Czekam na pana o siódmej w La Perla – wskazałem miejsce w sąsiedztwie mojego mieszkania. – To na Placu Hiszpańskim, naprzeciwko areny walk byków... Trudno go nie znaleźć..

– Zrozumiałem. Dziękuję za pańskie zaangażowanie, Caballero – odpowiedział. – Wiedziałem, że mogę na pana liczyć.

Norka stawała się coraz głębsza.

6

Inspektor Botella czekał w kawiarni. Siedział na stolku, łokcie miał oparte na aluminiowym barze i małymi łykami sączył kawę. Była siódma rano, a La Perla wyglądała, jakby była otwarta od paru godzin. Takie były hiszpańskie bary: zawsze na pełnych obrotach. Poranna klientela – taksówkarze i miejscowi pracownicy – robiła sobie przystanek przed rzuceniem się w wir pracy. Poprosiłem o podwójną czarną i uściśnałem dłoń inspektora.

– Dziękuję za przyjęcie – powiedział patrząc mi w oczy. Pysznic orzeźwił mnie nieco, jednak pieczenie oczu nie zelżało ani trochę. – Zdaje się, że miałaś ciężką noc, co?

– Ryzyko zawodowe... – odpowiedziałem. – Sam pan wie, inspektorze.

Mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało. W jego oczach dostrzegłem smutek – może spowodowany upływem czasu, starością, pracą lub problemami rodzinnymi. Był żonaty; na palcu miał obrączkę. Jednak nie wyglądał na całkiem szczęśliwego. Botella był jednym z tych, którzy urodzili się w czasach frankizmu i byli świadkami nadejścia demokracji. On, podobnie jak mój ojciec, jego przyjaciele i wielu innych, należał do wymierającego pokolenia ludzi o bezkompromisowych zasadach, które kształtowały się podczas obowiązkowej służby wojskowej. Cechowało go pragmatyczne i stoickie podejście do spraw – bezpośredni charakter, który nie wahał się rozwiązywać problemów pięścią.

Botella miał na sobie cywilne ubranie: džinsy i czarne polo.

Na barze leżała niebieska teczka, z której od razu wyciągnął kilka dokumentów.

– Po pierwsze, chciałbym, aby wszystko pozostało off the recurs.

– Chciał pan powiedzieć: off the record – sprostowałem. Nie był

zadowolony.

– Nieważne jak to się wymawia – odpowiedział. – Niech będzie między nami. To, co teraz powiem jest poufne i jeśli nie będziesz trzymał gęby na klódkę, to wsadzę cię do celi, zrozumiano?

– I po co mi pan to mówi?

– Zachowaj pytania na później, dobrze? – odpowiedział i pokazał dokumenty. Był to nieoficjalny raport z autopsji Moniki Llopis. –

Prokurator postanowił zamknąć sprawę, ponieważ nie znaleziono dowodów domniemanego... morderstwa. Chcą zapobiec skandalowi i chronić dobre imię miasta. Jednak nie jestem przekonany, że tak właśnie było... i najwyraźniej, ty również.

– Dlaczego tak pan uważa?

– Wysłano mnie tam przez przypadek. Prezydent obawiał się, że wsypano mu arszenik do kawy – wyjaśnił i zaśmiał się – więc pojechałem, aby sprawdzić, co się dzieje i ostudzić nieco atmosferę. Gdyby wydarzyło się coś takiego, to w Kortezach zaczęliby palić dokumenty. Łapiesz?

– Tak, oczywiście.

– Na pierwszy rzut oka wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek, których wiele zdarza się co dzień w tym mieście – ciągnął dalej – ale ku mojemu zaskoczeniu, przeglądając życiorysy gości, coś znalazłem.

Policjant wyjął kolejny dokument z teczki. Tym razem było to zawiadomienie o zakłócaniu porządku publicznego. Oskarżonym był Antonio Maciá, który pobił obywatela z powodu wtrącania się do ulicznej rozmowy.

– Odwiedziłem miejsce zdarzenia i przejrzałem zapisy z kamer monitoringu – powiedział trzymając fotokopię dokumentu w rękę. Wyjął kolejną kartkę z fotografiami o dość kiepskiej jakości. Był na nich Antonio Maciá, Monika Llopis i nieznajomy, stojący w drzwiach kawiarni. – I bingo. Mamy ich oboje.

– To może być zbieg okoliczności – odpowiedziałem; policjant miał podobne podejrzenia. – To stawia go w roli potencjalnego podejrzanego.

– Nie opowiadaj bzdur... – powiedział z wyrzutem. – Wystarczyło, że wykonałem jeden telefon i zapytałem o kartotekę kierowcy, a wtedy Romero powiedział mi, że już molestowała go prasa.

– To mógł być ktokolwiek.

– Ktokolwiek, kto ma szwagra w drogówce – zawyrokował. – Od jak dawna go podejrzewasz?

– Poprosiłem mojego szefa, aby sprawdził rejestrację samochodu i zidentyfikował właściciela – odpowiedziałem. – Widziałem go, jak opuszczał pośpiesznie aulę uniwersytetu, kiedy to wszystko się wydarzyło.

– Znaliście się wcześniej?

– Nie – powiedziałem. – Ale jego twarz pojawiła się na wielu fotografiach obok Llopis.

– Może chodzić również o zwykły zbieg okoliczności, nie sądzisz? – odpowiedział z sarkazmem. – Wiesz, różnica pomiędzy nami polega na tym, że twoje hipotezy są tylko hipotezami, dywagacjami bez podstaw. Natomiast moje można sprawdzić, i tak też zrobiłem.

Nie znosiłem takiego wywyższania się, ale nie pozostało mi nic innego, jak słuchać dalej.

– Niech mnie pan oświeci.

Mężczyzna sięgnął ponownie po raport z autopsji i położył go przede mną.

– Na ciele Llopis znaleziono ślady DNA dwóch różnych osób – wyjaśnił – ale nadal nie otrzymałem pełnego raportu.

– To staje się coraz ciekawsze – odpowiedziałem. I tak właśnie było. Dziennikarski instynkt nie zawiódł mnie. Musiałem poznać tę historię do końca. To mogła być trampolina do czołówek w ogólnokrajowych gazetach.

– Chciałbym, żebyś pojechał ze mną i poznał kumpla, który mi w tym wszystkim pomaga... Masz dzisiaj czas?

– To zależy – odpowiedziałem, myśląc o Ortizie. Wyjąłem telefon z kieszeni. Chciałem, żeby inspektor Botella do niego zadzwonił. Wiadomości ode mnie nie będą mu się podobać. Wcieliłem się w rolę inspektora i powiedziałem: – Tak, Wydział Zabójstw potrzebuje pomocy Gabriela Caballero i nie wydaje się, aby było coś ważniejszego, nie uważa pan?

– Daj spokój – odpowiedział z uśmiechem. – Nie chcę, żebyś robił sobie nadzieję. Potrzebuję tylko postronnej opinii, aby rozwiązać lamigłówkę... Tak, jak ci mówiłem, to ma pozostać off the recu.

Zaśmiałem się, ale nic nie powiedziałem. Warto było wcześniej wstać.

Ten człowiek, na swój sposób, wierzył w moją intuicję.

Sytuacja komplikowała się. Jeżeli opowieść Botelli była prawdziwa, to śmierć Moniki Llopis mogła okazać się czymś więcej – historią na miarę rosyjskich służb wywiadowczych. Ale, dlaczego? Kto był zainteresowany śmiercią rektora? W głowie roilo mi się od pytań, na które musiałem znaleźć

odpowiedzi.

To rozwiązałyby moje kłopoty z Ortizem, Patrycją i finansami.

Szybko złapałbym wiatr w żagle.

Funkcjonariusz wykonał telefon, wyciągnął banknot i zapłacił za kawę.

Wyszliśmy z kawiarni, wsiedliśmy do starego granatowego Forda Sierry i ruszyliśmy w stronę uniwersytetu.

Dojechaliśmy do kampusu San Vicente del Raspeig. Zostawiliśmy samochód na parkingu i skierowaliśmy się do Wydziału Nauk. Słońce skusiło studentów do wyjścia na trawnik, by zapomnieć na parę godzin o czerwcowych egzaminach. Niektóre dziewczyny niosły teczki, na sobie miały krótkie spódniczki. Trudno było przejść obok nich obojętnie. Część młodzieży siedziała w kawiarniach i grała w karty. Przypomniały mi się czasy, kiedy bywałem w tych miejscach: zapach piwa i perfum. Czasy, które zapadły w niepamięć – lepiej tego nie można określić – w chwili, kiedy otrzymałem dyplom i zacząłem pracować. Wtedy to powiedziałem żegnaj: wakacjom, godności i chęciom naprawy świata. To były najlepsze lata w moim życiu. Skończyły się i lepiej było do nich nie wracać.

Inspektor zatrzymał się przed piętrowym budynkiem. Z ziemi wyrastały dwie klatki schodowe łączące parter z piętrem.

– Mój przyjaciel to porządny gość – wyjaśnił inspektor – trochę dziwny, ale bardzo miły. Nie bądź zaskoczony jego ekscentrycznością. I nie bądź arogancki.

– Jestem kuloodporny, inspektorze.

– Tylko nie mów, że cię nie ostrzegąłem.

Minęliśmy hol budynku i weszliśmy do korytarza łączącego różne sale i laboratoria. Inspektor szedł pewnie, a ja za nim.

– Casavieja, mam dla ciebie towarzystwo... – powiedział w progu laboratorium. Gdy wszedłem, zobaczyłem osobę, której się nie spodziewałem.

– No proszę, to pan – odpowiedział mężczyzna w białym fartuchu.

Powitanie wskazywało na zażyłość między mężczyznami. Był to ten sam człowiek, który poprosił mnie o papierosa przed aulą uniwersytecką.

– Co robisz w towarzystwie dziennikarza, Botella? – zapytał mężczyzna.

– Casavieja? – spytałem.

– Z dziada pradziada.

– Znacie się? – zapytał zaskoczony inspektor. – Tak czy tak, niesłychane... Caballero będzie współpracować z nami w śledztwie, ale

wiesz: off the recurs.

– Chciałeś powiedzieć off the record, tak? – zapytał Casavieja.

– Nie wkurzaj mnie tym cholernym zwrotem – wykrzyknął inspektor. – Jakie to ma znaczenie, skoro wiecie o co chodzi?

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Doktor nie zdawał sobie sprawy, że powiedział coś złe.

– Jestem tutaj tylko po to, aby rzucić trochę światła na tę sprawę – powiedziałem.

– Casavieja jest doktorem biologii... – tłumaczył mi inspektor.

– Biotechnologii, Botella – przerwał. – To nie to samo...

– Jak sobie życzysz... – odpowiedział. – Rzecz w tym, że ma znajomości wszędzie, zwłaszcza wśród lekarzy sądowych.

– Tak jest – powiedział doktor. – Powiedzmy, że jestem jednym z tych sfrustrowanych lekarzy sądowych...

– Poprosiłem go, aby sporządził drugą autopsję panny Llopis, nieoficjalną. Oficjalna, z jakichś dziwnych powodów, wydaje się być zmanipulowana na potrzeby mediów.

– Z całym szacunkiem – powiedział doktor – panna Llopis była zbyt młoda, aby umrzeć na zawał serca. Oczywiście wszystko jest możliwe, ale podczas pracy w naszym departamencie nigdy nie zdradziła się jakimikolwiek niezdrowymi nawykami.

– Widzisz, Caballero? Tak właśnie myśleliśmy.

– Monika była kobietą, którą wszyscy lubili: zarówno studenci, jak i pracownicy – kontynuował. – I chociaż nasza znajomość nie wyszła nigdy poza laboratorium, to znaliśmy się przecież od dwudziestu lat... Prawdę mówiąc, jestem tutaj dzięki niej.

– Co ma pan na myśli? – zapytałem.

– Tego mi nie mówiłeś... – dodał policjant.

– Wydawało mi się, że to nie ma znaczenia, Botella – powiedział poprawiając na nosie okulary w drucianych oprawkach. – Zanim zaczęliśmy badania na uniwersytecie, Monika i ja, pracowaliśmy w jednym zespole w laboratorium farmaceutycznym w Walencji. Ona odeszła pierwsza. Potem przyszedł odsiew i zwolnili nas wszystkich. Ale Monika pamiętała o zespole, pociągnęła za odpowiednie sznurki, i zatrudniono nas jako profesorów i badaczy. Dzięki temu mogliśmy ukończyć jedno z najbardziej obiecujących badań na świecie. Dzięki pracy wszystkich, końcowe próby są pozytywne.

- Ciekawe – powiedziałem.
 - W rzeczy samej – odpowiedział. – Gdyby nie ona, moje życie potoczyłoby się inaczej.
 - Co nam powiesz o dowodach znalezionych na ciele?
 - Chodzi o ślady dwóch osób, jak już ci mówiłem – potwierdził doktor.
 - Nie znamy ich tożsamości. Mimo to mogę stwierdzić, że jedna z nich miała z nią bliskie stosunki.
 - Może pan mówić jaśniej...? – spytałem.
 - Doszło do kontaktu cielesnego.
 - Dobrze, ale to nie musi nic znaczyć – odpowiedziałem. – Być może panna Llopis chciała zachować życie prywatne dla siebie.
 - Przyznaję ci rację – powiedział doktor Casavieja – chociaż muszę wyznać, że wygląda to dość podejrzanie w kontekście zaprzysiężenia.
 - Czy miała wrogów? – zapytałem.
 - Z tego co wiem, nie... a może powinienem?
 - Casavieja, powiedz mi prawdę – wtrącił się inspektor. – Dlaczego mamy wierzyć, że to było zabójstwo, a nie śmierć naturalna.
- Doktor popatrzył na nas zaskoczony, jakbyśmy pominęli coś oczywistego w raporcie.
- Myślałem, że czytaliście autopsję... – odpowiedział. – W paznokciach i we włosach, obok DNA dwóch podejrzanych, znaleziono ślady As₃.
 - Co to jest? – powiedział inspektor.
 - Arsfenamina – powiedział Casavieja. – Związek chemiczny zawierający arsenik. Popularna trucizna.
- Słowa doktora oznaczały nagły zwrot w śledztwie. Jeśli to była prawda, to zdarzenie sprzed kilku dni było wyrachowanym zabójstwem. Na myśl, że sytuacja nabiera powagi, poczułem skurcz żołądka. Spojrzałem na inspektora przytłoczonego tym, co usłyszał. Nie spodziewał się takiego obrotu spraw i nie był na to przygotowany. Wniosek o wznowienie śledztwa przysporzyłby mu tylko problemów. Nie mieliśmy wątpliwości, że komuś zależało na tym, żeby Llopis nie została rektorem.
- Nie chciałbym wyjść na ignoranta, ale... – powiedziałem przerywając ciszę. – Kto do diabła ma dostęp do arseniku? Wątpię, by można go było dostać w pierwszym lepszym sklepie.
 - Arsenik można znaleźć w wielu miejscach – odpowiedział doktor – jednak dawkę trzeba umieć dobrać do ofiary.
 - To niewyobrażalne – powiedział inspektor. – Jaka w tym wszystkim

jest rola tego Maciá?

– Przemysł farmaceutyczny – odpowiedziałem. – Wiem, że jego start-up zajmuje się takimi rzeczami...

– Do cholery z tymi anglicyzmami – zrobił wymówkę policjant.

– Trójtlenek arszeniku stosuje się w lekach przeciwnowotworowych – wyjaśnił doktor. – Zainteresowano się nimi znowu niedawno, ponieważ pomaga pacjentom chorym na białaczkę... Ale to tylko zbieg okoliczności.

– Więc jest ich sporo – powiedział z przekonaniem policjant. – A ty, co o tym wszystkim sądzisz, Caballero?

Sam sobie zadawałem to pytanie. Przed oczami miałem minę Patrycji, gdy mówię jej o moim temacie na wyłączność. Jej minę i Ortiza. W końcu, do cholery, odzyskałbym zaufanie ich obojga. Co się tyczy sprawy – nie wiedziałem, co myśleć, chociaż było dla mnie jasne, że Antonio Maciá jest w nią zamieszany. Mimo to, cały w środku trząsłem się z nerwów. Podejrzywałem, że szybko okaże się, że ktoś bliski maczał w tym palce.

– To wszystko to tylko przypuszczenia – powiedziałem. – Jest tylko jeden sposób, aby poznać prawdę... trzeba przeszukać gabinet panny Llopis. Na pewno znajdziemy w nim odpowiedzi na nasze pytania.

7

Poranek minął w mgnieniu oka – tak intensywnie, że niemal zasnąłem w fordzie inspektora Botelli.

Wróciliśmy do miasta. Inspektor wysadził mnie pod drzwiami mieszkania. Powiedział, że skontaktuje się ze mną, jak tylko dowie się czegoś o drugim z podejrzanych. Było południe. Nogi uginały się pod mną z niewyspania – jakby były z waty.

Gdy tylko wszedłem do domu poczułem perfumy Patrycji. Zawsze używała słodkiego i świeżego zapachu, który kojarzył mi się z niekończącym się latem. W domu czuć było woń mielonego mięsa i smażonej cebuli, a z radia dobiegała piosenka zespołu Burning.

Podkradłem się do kuchni i zobaczyłem Patrycję ubraną w czarny domowy strój. Brązowe włosy splotła w warkocz. Zawsze była piękna – nawet wtedy, gdy nie chciała mnie znać. Stała przy kuchni z biodrami wysuniętymi do przodu i odsłoniętym pępkiem. W ręce trzymała patelnię i, jak czarodziejka, mieszała sos.

– Jak pięknie pachnie... – powiedziałem chcąc ocieplić atmosferę i podszedłem, aby pocałować ją w policzek. Pocałunek był chłodny i sztuczny. – Czekałem na ciebie poprzedniej nocy. Mogłaś zostawić wiadomość.

– Spałam u Eleny – odpowiedziała i uśmiechnięta spojrzała na mnie. – Przesadziłyśmy z winem, jak zawsze...

Otworzyłem lodówkę i wyjąłem puszkę piwa Mahou.

Wziąłem długi łyk. Pierwszy haust dobrze schłodzonego piwa jest najlepszy ze wszystkich.

– Nadal złościsz się na mnie? – zapytałem oparty o framugę drzwi.

Spojrzała na mnie i opuściła głowę.

– Nie, Gabriel, nie jestem zła, chodzi o...

– Przysięgam, że mówiłem o tym Ortizowi, ale wiesz jak jest.

– Tak, wiem – odpowiedziała rozczarowana. – Wiem również, jaki jesteś ty... Dobra, nieważne, co to zmieni, to już przeszłość. Prawda? Już skończyła się ta sprawa rektora.

– Tak naprawdę, to nie – powiedziałem. Patrycja znieruchomiała. – To znaczy tak, ale nie mogła zakończyć się w gorszym stylu.

– Wyjaśnij mi, bo przestaję rozumieć, gdy zaczynasz mówić o abstrakcjach...

– Wychodzi na to, że to było morderstwo.

Jej źrenice rozszerzyły się, co zinterpretowałem jako znak alarmowy dla naszego związku, a nie wyraz zaskoczenia przebiegiem zdarzeń.

– Morderstwo?

– Tak.

– Proszę – powiedziała przelękając gorycz. – Faktycznie, sprawy się komplikują... Jesz ze mną?

– Posłuchaj, Patrycja – powiedziałem, głaszcząc jej dłonie. Wziąłem głęboki oddech. – Myślę, że to będzie rewelacja stulecia, naprawdę. Ktoś usiłował pozbyć się przyszłej rektor, prokuratura zamknęła sprawę, ale inspektor z wydziału zabójstw chce, abym mu pomógł w dochodzeniu...

– Inspektor z wydziału zabójstw?

Cały mój dialektyczny wywód poszedł na marne.

Okręt tonął.

– Patrycja, naprawdę – podkreśliłem. – To pozwoli mi się stąd wyrwać, tobie i mnie, a potem napisać książkę lub zrobić coś innego... Ale na pewno awansuję w pracy i będzie się nam wiodło lepiej.

– Ale o czym ty mówisz? – powiedziała poruszona. – Potrzebujesz się wyspać i prowadzić normalne życie.

– Nie chcesz tego zrozumieć. Prawda?

– Nie, przystojniaku – powiedziała markotnie. – Rozumiem doskonale. Rozumiem również, że od dwóch tygodni nie zaglądasz do domu, nawet po to, aby się przebrać; że twój szef przywiązał cię do krzesła, oraz że – przez przypadek – zawsze jesteś poza domem z tym twoim kolegą z uniwersytetu. Rozumiem też, że od trzech miesięcy nam się nie układa, a ty ciągle wierzysz, że swoim pisaniem zmienisz świat.

– Płacą mi za pisanie prawdy, Patrycja – powiedziałem i wziąłem

kolejny łyk z puszki. – Wszyscy potrzebujemy dziennikarstwa, to jest największy problem. Niedoinformowane społeczeństwo będzie powtarzać błędy z przeszłości.

– Oczywiście, Gabriel, będzie jak zechcesz, nie mam zamiaru klócić się o to z tobą – powiedziała. – Mam dość, jestem tym wszystkim zmęczona.

Zapach smażonej cebuli nie był przyczyną potoku łez, który popłynął z oczu Patrycji. Była zmęczona, wyczerpana – mną, sobą, nami. Statek zbaczal z kursu i płynął prosto na skały.

Przytulilem ją i zachęciłem, żeby oparła głowę na mojej piersi. Szloch pogłębiał jej smutek. Burning śpiewali o kobiecie fatalnej, z wiecznymi problemami. Podczas refrenu zdałem sobie sprawę, że w mojej wersji piosenki bohaterem byłem ja, a nie Patrycja.

– Już dobrze, już dobrze – powiedziałem do niej. – Obiecuję, że zrobię wszystko, aby to zmienić, naprawdę.

Gdy skończył się utwór, podniosła głowę i, spod rozmazanego makijażu, spojrzała mi w oczy.

– Chcę, żebyś mi obiecał jedną rzecz – powiedziała całkowicie skoncentrowana na mnie.

– O cokolwiek poprosisz, kochanie...

– Obiecaj mi, że nie dasz się wciągnąć tym razem w tę historię z uniwersytetem, proszę – błagała. – Wiem, że nie mam prawa prosić cię o to, ale tak nie da się żyć, Gabriel.

Jej słowa były jak nóż wbity w pierś, który pocałował moje serce na niesymetryczne kawałki.

Westchnąłem całym sobą.

Patrycja stała naprzeciwko i przytulała rękoma moje policzki.

Nie wierzyła mi – guzik obchodził ją mój zawód i to, co robiłem. Pracowała w firmie jako księgowa. Informację traktowała jako zwykłą rozrywkę, temat do towarzyskich rozmów i narzędzie do robienia wrażenia osoby obytej w świecie. Jednak kochałem ją tak bardzo, że w końcu zaakceptowałem te wady .

– Dobrze. Wygrałaś – powiedziałem i pocałowałem ją w czoło. Przytuliliśmy się.

Pocałowała mnie w usta i poprowadziła w stronę łóżka.

Znowu czułem ciepło nagiego ciała Patrycji, jej delikatnej i bladej skóry, i tych piersi o kształtach pączków. Kochaliśmy się namiętnie jak nigdy do tej pory.

Po raz pierwszy okłamałem ją na chłodno, z wyrachowaniem.

Nieważne, co powiedziałem – wiedziałem, że ta historia będzie mnie drogo kosztować.

8

Zachód słońca okrywał wybrzeże i otulał hotel Meliá na plaży Postiguet. Hidalgo szedł nadmorskim deptakiem, aż dotarł do baru Noray na molo – sześciennego, minimalistycznego i sterylnoego budynku ze szkła i aluminium. W górze leniwie lopotą biało-niebieska flaga.

Hidalgo sprawdził telefon, ale nie miał żadnego nieodebranego połączenia. Wszedł na taras, na którym rozstawiono stoły i usiadł naprzeciwko łodzi zacumowanych w klubie jachtowym. Ubrany był w białą koszulę i kremowe, płócienne spodnie. Rękawy koszuli miał podwinięte, a na nosie czarne okulary w grubej oprawie. Podniósł rękę i zawołał kelnera.

– Dzień dobry. Co podać? – zapytał kelner z południowym akcentem. W dłoni trzymał metalową, okrągłą tacę.

– Czy ktoś o mnie pytał? – powiedział Hidalgo.

Kelner zamyślił się.

– Skąd miałbym wiedzieć? – odpowiedział szczerze. – Nie wiem, kim pan jest.

– Nieważne – powiedział dziennikarz. – Piwo poproszę.

Kilka minut później kelner wrócił ze szklanką piwa na tacy.

– Do usług.

– Dziękuję – powiedział Hidalgo i wziął łyk, zerkając niecierpliwie na telefon leżący na stole. Zanim zdążył postawić szklankę na aluminiowym blacie, ktoś stanął za jego plecami.

– Wybacz spóźnienie – powiedział męski głos. To był Antonio Maciá – włosy zaczesane perfekcyjnie do tyłu, džinsy, okrągłe okulary przeciwsłoneczne i pomarańczowe polo. – Nie da się zaparkować w centrum.

– Ktoś nas może tutaj zobaczyć – powiedział zatrwożony Hidalgo. – Nie było lepszego miejsca w całym mieście?

– Wyluzuj, Hidalgo... Możesz? – Odpowiedział odprężonym tonem. – Nie mogą nas oskarżyć za konsumpcję piwa podczas cudownego zachodu słońca. Uwielbiam to miasto, wiesz?

Hidalgo zamówił czerwony wermut z plasterkiem pomarańczy, dwoma dużymi kostkami lodu i oliwką. Kelner podał go natychmiast.

– Co masz zamiar teraz zrobić? – zapytał Hidalgo. Czuł się niezręcznie w tym miejscu.

– Pickle poproszę – powiedział Maciá do kelnera, ignorując pytanie Hidalgo. Po chwili namysłu wyjaśnił: – Moje zobowiązania, jako sponsora kampanii Moniki, wygasły. Nie mam już z tym nic wspólnego... Natomiast ty jesteś jej naturalnym następcą, Hidalgo. Nie wyszedłeś na tym najgorzej, prawda?

– Więc będziesz trzymać się z dala od uniwersytetu, tak? – zapytał Hidalgo. – Cieszę się na myśl, że już nie będę musiał cię więcej oglądać. No proszę, a ja myślałem, że twoje intencje są czysto zawodowe. Wygląda jednak, że jest inaczej...

– Pozory mylą, nieprawdaż Antonito? – odpowiedział. – Też myślałem, że spotkamy się na pogrzebie, ale tak się nie stało... Co za rozczarowanie. Nie chciałeś pożegnać się z Moniką?

– Miałem inne sprawy.

– Pewnie... – powiedział uśmiechając się Maciá. – Bardzo źle znosisz porażki, kolego... Nawet wtedy, gdy wygrywasz.

– Słuchaj, spryciarzu – odpowiedział Hidalgo i wycelował w niego palec. Zrelaksowany Maciá delektował się napojem. – Nigdy cię nie lubilem. Od pierwszego razu, gdy zobaczyłem cię kręcącego się po gabinetach, wiedziałem, że przyniesiesz problemy i tak się stało. Wciągnąłeś nas wszystkich... Nie wiem, jakie masz plany, ale nie pozwolę ci na kolejny ruch.

– Mówimy o pracy, czy o Monice? – powiedział zuchwałym tonem i zrobił prowokującą minę.

Hidalgo mało nie stracił nad sobą panowania, ale powstrzymała go obecność ludzi.

– W innej sytuacji przyłożyłbym ci w prosto zęby.

– Ale tego nie zrobisz – odpowiedział Maciá z wyższością – ponieważ ci nie przystoi. Odpuść sobie. Hidalgo, nie jesteś typem, który wymierza

sprawiedliwość na własną rękę... No, człowieku, nie bądź taki dumny, przecież się znamy... Właściwie, to wydaje mi się, że powinniśmy żyć w zgodzie. Koniec końców mogę ci pomóc uciszyć kilku profesorów...

– Życ dobrze? Z tobą? – zapytał się. – Prędzej zrzekłbym się stanowiska.

– W takim razie naciesz się nim. Tych kilka dni szybko przeminie i będziesz miał przesrane...

– Wal się! – wykrzyknął Hidalgo. Kelnerzy i goście przy sąsiednich stolikach spojrzeli zdumieni.

Antonio Hidalgo rzucił na stół kilka monet, wstał i wyszedł.

Ciekawscy goście przyglądali się scenie i cicho szeptali między sobą.

– Zajmijcie się sobą – powiedział Maciá i zamówił kolejny wermut.

Słońce stapało się z morzem, na którego powierzchni odbijał się już księżyc.

Wieczór przechodził w noc, którą obaj zapamiętają na długo.

9

Inspektor Botella zostawił mi wiadomość w skrzynce głosowej, że doktor Casavieja zdobył klucz do gabinetu Moniki Llopis. Jak tego dokonał?

Czasami wystarczy obecność inspektora policji i zaproszenie do śledztwa, a wszystko zaczyna się układać.

Odpuściłem kilka dni i wróciłem do codzienności. Patrycja ucięła sobie poobiednią drzemkę, a ja wyszedłem na ulicę. Ortiz pozwolił mi pracować krócej. Nie rozmawialiśmy dużo o tym, co się wydarzyło. Zlecił mi opracowanie kilku wiadomości. Na mieście działo się niewiele – same nieistotne uroczystości. Ortiz sporo czasu poświęcał w redakcji dwóm nowym stypendystom. Wiedziałem jednak, że taki stan nie będzie utrzymywać się w nieskończoność. Nie zdradziłem nic szefowi, chociaż, owszem, wspomniałem mu, że pracuję nad bombowym artykułem. Uwierzył mi na tyle, że pozwolił działać na własną rękę.

Wsiadłem do czerwonego Seata Ibizy GTI, którego parę lat temu kupiłem z drugiej ręki, wyszukałem stację Radio 3 i ruszyłem autostradą w kierunku budynku Wydziału Nauk.

Gdy dotarłem na miejsce, inspektor Botella i doktor Casavieja już na mnie czekali. Stali oparci o przeszkloną witrynę, w której profesorowie umieszczali swoje ogłoszenia.

– Dzień dobry – powiedziałem patrząc w ich stronę. – Chyba nie pakujemy się w żadne kłopoty, inspektorze?

– Co najwyżej ktoś straci pracę – powiedział do biologa. – To żart. Ramiro jest przyjacielem dozorca.

– Jesteśmy jak jedna rodzina – odpowiedział doktor, uśmiechając się dobrodusznie. – Wszyscy, którzy pracowali z Llopis chcą wiedzieć, co jej się

przytrafiło.

– Aha, Caballero... – powiedział do mnie policjant. – To również ma pozostać...

– Tak, przecież wiem – przerwałem mu. – Wszystko jest off the record. Proszę się nie martwić, inspektorze. Czy wiadomo coś na temat analiz?

– Jeszcze nie. Gdy tylko się czegoś dowiem, dam ci znać.

Szliśmy za doktorem Casavieja, który zaprowadził nas na piętro, gdzie znajdowały się niewielkie biura i gabinety. W każdych drzwiach znajdował się świetlik, jak w kajutach statków. Pokoje były puste. Żaden z profesorów nie sprawdzał egzaminów.

– Co za czasy... – powiedziałem idąc w kierunku końca korytarza. – Pamiętam, co w tych miejscach się działo.

– Jak to? – zapytał zaciekawiony Botella.

– Ma pan dzieci, inspektorze? – zapytałem się.

– Tak – odpowiedział. – Dziewiętnastoletnią córkę. Studiuje adwokaturę.

– Ach Botella, nawet sobie nie wyobrażasz, do czego jest zdolny człowiek, kiedy chodzi o zdanie egzaminu... – odpowiedział doktor.

– Wolę nie wiedzieć – powiedział. – Gdzie jest ten przeklęty gabinet?

– Tutaj – oznajmił Casavieja i włożył klucz do zamka w ostatnich drzwiach, po prawej stronie korytarza.

– To jest gabinet Moniki Llopis. – powiedział inspektor. – Bądźcie ostrożni i nie zostawcie odcisków, na wypadek gdybym musiał wznowić śledztwo. Dobrze?

Drzwi otworzyły się do środka. Na wyposażenie gabinetu składały się dwa krzesła, skromne biurko, na którym stało oprawione zdjęcie rodzinne, komputer stacjonarny i kartonowy kalendarz. Z boku stał barek z wodą, z pełnym niebieskim zbiornikiem.

Na prawo od obrotowego krzesła stał niewielki regał z kolorowymi segregatorami, książkami, podręcznikami do biologii, ekonomii i prawa administracyjnego.

Miejsca w gabinecie nie było za wiele, toteż podzieliliśmy się zadaniami. Casavieja miał sprawdzać, czy nikt nie nadchodzi, a my z Botellą rozglądaliśmy się po pokoju. Doktor stał przed drzwiami i zerkał na nas nerwowo. Czoło miał spocone. Wyglądał na przestraszonego. Cała ta sytuacja bardzo nas stresowała.

Botella chwycił kalendarz i spojrzał na dni poprzedzające zdarzenie.

– Nic interesującego – powiedział otwierając ostanie szuflady w biurku.
– Jak włączyć komputer?

– Spróbuj nacisnąć przycisk zasilania – odpowiedziałem.

Nic nie powiedział.

Komputer uruchomił się. Pulpit był pusty, ani śladu dokumentów. Przejrzeliśmy główne katalogi, ale znaleźliśmy jedynie oficjalne dokumenty i listy wydrukowane przez pannę Llopis.

– Otwórz pocztę elektroniczną – polecił inspektor. – Tam na pewno znajdziemy coś wartościowego.

Jednak i tym razem nie mieliśmy szczęścia. Monika nie tylko usunęła pocztę przychodzącą, ale również wymazała ślad po poczcie wysłanej. Była kobietą wyrachowaną, więc wszystko miała dokładnie zorganizowane. Program pocztowy, którego używała, wyglądał zbyt perfekcyjnie jak na pocztę wydziału, oficjalnie.

Wraz z upływem czasu każdy profesor przestawał pilnować porządku i przestrzegać zasad. Gdy mijał okres próbny, pracownicy używali skrzynki pocztowej do kontaktowania się ze znajomymi, czy przesyłania sobie dowcipów. Powodowała nimi wygoda, fałszywe poczucie bezkarności.

– To strata czasu – powiedział inspektor. – Bez dowodów daleko nie zajdziemy, a na pewno nie dostaniemy się do jej mieszkania.

– Coś tu musi być, inspektorze – powiedziałem. – Coś, co przeoczyliśmy.

– Obawiam się, że czas nam się kończy, Caballero.

– Zdaje mi się, że ktoś idzie – powiedział zza drzwi spocony doktor.

– Gówno! – wykrzyknąłem i uderzyłem w biurko. Klawiatura przesunęła się kilka centymetrów i odsłoniła leżący pod nią kawałek papieru.

– Szybko, pospieszcie się, ktoś tu jedzie windą... – powiedział doktor. – Jak nas zobaczą, to zaczną się podejrzenia...

– Co to jest, Caballero? – zapytał inspektor, ignorując swojego przyjaciela.

Obaj spojrzeliśmy na znalezisko: kawałek białego, połączanego kartonu.

Ktoś długopisem napisał na nim datę o dwa dni wcześniejszą od śmierci Moniki Llopis.

Była to wizytówka restauracji Nou Manolín.

– Panie Casavieja? – z oddali dobiegł głos starszej kobiety. – Co pan tu robi? Dobrze się pan czuje?

– Co? Tak! Chyba czegoś zapomniałem... – tłumaczył się doktor.

Pchnąłem delikatnie drzwi, by je zamknąć. Rozległ się suchy trzask.

– Co to było? – zapytała ponownie kobieta i podeszła do gabinetu.

– Co? Nie, nie wiem... – rzucił nerwowo Casavieja.

Dalem znać Botelli, żeby się schylił i oboje kucnęliśmy w miejscu niewidocznym od drzwi.

Kobieta, o ciepłym, lecz monotonnym głosie, niewątpliwie ciągnęła coś za sobą. Szuranie i charakterystyczny zapach wiezionych produktów podpowiadały mi jej zawód. Była to sprzątaczką, która w każdej chwili mogła wejść do środka i nas zdemaskować.

Nacisnęła klamkę w drzwiach.

– Oj! Są otwarte! – krzyknęła zdumiona i zaśmiała się. Casavieja, coraz bardziej zdenerwowany, zawtórował jej sztywno. – Wie pan, po tym co się stało, chcę, żebyś wysprzątała gabinet na błysk, a ja dostaję dreszczy na samą myśl...

– Tak, rozumiem panią.

– Lepiej zostawić martwych w spokoju, nie uważa pan? – powiedziała kobieta. – Dokąd pan szedł? O ile dobrze pamiętam, pana biuro znajduje się w drugim skrzydle. Czyż nie tak?

– Tak, już wychodziłem – powiedział doktor, pragnąc zapaść się pod ziemię.

Botella i ja spojrzeliśmy na siebie. Byliśmy skończeni. Doktor to prawdziwy niezdara. Nie dość, że nie potrafił pozbyć się sprzątaczkę, to jeszcze swym nieudacznictwem mógł zrujnować całe nasze śledztwo.

– Ach! – wykrzyknął. – Teraz sobie przypomniałem, po co tu przyszedłem.

– Tak? Proszę mówić, a ja zacznę... – powiedziała kobieta popychając wózek ze środkami czyszczącymi do pokoju. Botella i ja, przyklejeni do ściany, już widzieliśmy zbliżające się przednie kółka.

– Szukałem pani – wyjaśnił Casavieja ojcowskim tonem. – bo ktoś narobił niezłego bałaganu w męskiej toalecie, sama pani rozumie...

– Matko boska! – powiedziała kobieta. – Niektórzy mężczyźni doprawdy zachowują się jak zwierzęta.

– Mnie też jest przykro, proszę pani... – powiedział i poprowadził kobietę. – Proszę za mną, pokażę gdzie to się stało.

– Tak, tak będzie lepiej – odparła kobieta. – I tak wydaje mi się, że nikt dzisiaj nie zajmie gabinetu...

Odgłosy rozmowy i oddalających się kroków stopniowo cichły. Z

trudem powstrzymałem się od uśmiechu, patrząc z ulgą na inspektora, który miał minę jak nastolatek, przejęty tym, że kolejna psota uszła mu na sucho.

– Było blisko, co inspektorze? – wyszeptałem.

– Chodźmy stąd, Caballero – powiedział nadal spięty. – Chodźmy stąd, ale już.

10

Wróciliśmy do centrum Alicante, pospiesznie, jak dwie strzały zmierzające do tarczy. Mieliśmy świadomość, że nasze wątpliwości wkrótce zostaną rozwiane. Jeżeli Monika Llopis była w restauracji Nou Manolín w czyimś towarzystwie na dwie doby przed śmiercią, to najprawdopodobniej ktoś ją widział. Zaparkowaliśmy obok Mercado Central, targu działającego od 1921 r., na którym wciąż tętniły życiem stragany rybaków, sprzedawców warzyw i rzeźników. Ruszyliśmy promenadą w kierunku morza.

Nadchodził piątkowy wieczór, a wraz z nim noc pełna imprez, tłumów studentów i krótkich spódniczek charakterystycznych dla gorącego czerwca. Złociste słońce chowało się za budynkami, a na niebie, nad stojącym wysoko w górach zamkiem Santa Bárbara, przebijał się błyszczący księżyc. Zawsze kiedy spoglądałem w górę i podziwiałem fortecę, wyobrażałem sobie ludzi różnych ras, narodowości i religii, którzy usiłowali ją zdobyć. Gdybym żył w tamtych czasach, to możliwe, że byłbym jednym z tych, którym się to udało.

Alicante było miastem z krwi i kości – miało duszę stolicy i dumne serce. Niczym nie ustępowało większym metropoliom, jak Walencja lub Madryt. Dobry klimat, palmowe gaje, piękne i wyzywające kobiety oraz regionalna kuchnia, sprawiały, że było to miejsce jak z marzeń. Mieliśmy własny styl życia i umieliśmy to pokazać. Szukający przygód znajdowali je tutaj bez trudu.

Powietrze było tak wilgotne, że aż zatykało pory skóry. Inspektor podszedł do mnie, kiedy kończyłem palić papierosa.

– Przekłety upał, przekłety piątek – parsknął. – To miasto zamienia się w śmietnik pełen samochodów, ludzi, wszystkiego... O tej porze nie da się pracować.

– Nawiązując do pracy, proszę pana... – powiedziałem niepewnie.

– Zajmij się swoimi sprawami, chłopcze – odpowiedział poprawiając wąs. Ruszyliśmy ulicą w dół. – Przyniosłem kilka zdjęć panny Llopis i innych gości z zaprzysiężenia.

– Przypuśćmy, że mamy do czynienia z morderstwem – powiedziałem. Minęliśmy John Mulligan, irlandzki bar – dyskotekę, w którego drzwiach, bez względu na porę, zawsze tłoczyła się młodzież. – Myśli pan, że sprawca tam był?

– Oczywiście... – powiedział i ucichł przyglądając się blondynce w spódnicy z posrebrzonymi cekinami. – Spójrz na tamtą... Ile może mieć lat? Szesnaście? Osiemnaście? W pewnym wieku dopada cię depresja i inne cholerstwa; stawiasz taką obok żony i coś się w tobie budzi....

– Inspektorze, proszę – powiedziałem, chcąc skierować jego uwagę na sprawę. Inspektor Botella zdawał się przechodzić jeden z tych trudnych okresów w małżeństwie, które przypisuje się pewnemu wiekowi. Jednak wiek to tylko liczba. Przyczyną takich kryzysów jest raczej pragnienie nowości i świeżości, ludzka potrzeba skosztowania zakazanego owocu, odmiany i odmłodzenia się oraz potwierdzenia, że śmierć jest jeszcze daleko.

– Ależ tak, Gabriel... – odpowiedział swoim szorstkim głosem. – Jeśli mamy do czynienia z morderstwem, to zazwyczaj ci kretyni lubią być na miejscu i patrzeć, jak umiera ofiara. Chyba ich to rajcuje, albo coś w tym rodzaju.

Zapamiętałem słowa inspektora. Później przyjrę się wszystkim uczestnikom. Zanim wydam werdykt, muszę sprawdzić, co mają do powiedzenia pracownicy restauracji – o ile będą chcieli współpracować.

Minęliśmy Museu de Fogueres. Ulicami Bailén i Quevedo doszliśmy do Castaños i restauracji Nou Manolín. Dochodziła siódma wieczorem. Wszędzie było pełno ludzi. Bary wschodniej Hiszpanii dały początek nowej formie rozrywki, która znana jest w całym kraju jako „tardeo”: każdy pretekst jest dobry, aby kontynuować imprezę po aperitifie. Nie trzeba czekać do nocy, żeby nawalić się już o trzeciej po południu i wylądować w dyskotekę, kiedy dzieci dopiero wychodzą ze szkół. Ci, którzy najbardziej tęsknili za parszywym stanem dnia następnego, już zapelniali tarasy, restauracje i kluby w centrum miasta. Gdy doszliśmy do ulicy Castaños, grupki dobrze ubranej młodzieży, wystrojonej jak z żurnala – mniej lub bardziej wstawionej – bawiły się na całego.

Inspektor Botella sprawiał wrażenie zaskoczonego tym, co zobaczył.

Dla mojego pokolenia była to najzwyczajniejsza forma rozrywki.

– W moich czasach coś takiego byłoby nie do wyobrażenia – skomentował przyglądając się lokalom. – Przekażemy nasz kraj w ręce takich ludzi?

Weszliśmy do restauracji – lokalu słynącego z najlepszego w całym mieście baru. Przyglądałem się krzątaniu kelnerów wokół kwadratowej, drewnianej ludy. Ściany lokalu zrobione były z cegły, a całość ozdobiono szynkami, zwisającymi z sufitu w samym centrum baru. Piwo z nalewaka gasiło pragnienie gości – w większości zamożnych mężczyzn i kobiet, rozmawiających głośno i konsumujących na stojąco przy ladzie. Po chwili pojawił się kelner z półmiskiem grillowanych krewetek z plaży Dénia i podał je do degustacji biesiadnikom przy barze. Na wprost nas stała grupka trzydziestolatek i przyglądała się nam ukradkiem przez szkło kieliszków z białym winem. Podniosłem wzrok i popatrzyłem dalej. Kilka par wchodziło schodami na pierwsze piętro. Domyśliłem się, że tam znajdowała się sala główna. Nou Manolín była nie tylko miejscem odpoczynku, ale również służbowych spotkań. Fakt ten wzbudzał ogromną ciekawość inspektora.

– Co panom podać? – zapytał barman.

– Poproszę piwo – odpowiedziałem.

– Ależ Caballero... – powiedział inspektor Botella. – Proszę mu nic nie podawać... Chcielibyśmy rozmawiać z kierownikiem.

– Kto pyta? – odpowiedział pracownik.

Botella bez wahania wyjął identyfikator.

– Inspektor Botella z wydziału zabójstw.

Grupka kobiet ucichła, a kilku ciekawskich odwróciło w naszą stronę, przysłuchując się słowom śledczego.

Przy barze pojawił się dobrze zbudowany mężczyzna z błyszczącą łysiną, ubrany w białą koszulę i dżinsy. Uprzejmym gestem zaprosił nas na koniec baru, gdzie za szybą stała taca z sałatką, świeżym tuńczykiem i czerwonymi krewetkami.

– Słucham, panie... – powiedział; wyglądał na zmęczonego pracą.

– Botella – odpowiedział inspektor. – Señor Caballero jest moim pomocnikiem. Mamy mały kłopot i chcemy zadać panu kilka pytań.

– Oczywiście, służę pomocą. O co chodzi?

Botella wyjął z kieszeni kilka kolorowych fotografii z uroczystości zaprzysiężenia.

Mężczyzna złapał się pod boki i spojrzał na zdjęcia.

– Czy zna pan kogoś z tych zdjęć? – zapytał inspektor.

Obserwowałem go. Chciałem sprawdzić, której osobie na fotografii poświęci najwięcej uwagi. Rozpoznał pannę Llopis. Zrozumiałem, że jadła tutaj nie jeden raz. Następnie przyjrzał się jednemu ze zdjęć wyraźnie wahając się z udzieleniem odpowiedzi.

– Nie, nie rozpoznaję nikogo – odpowiedział lekceważącym tonem. – Przykro mi. W czym mogę jeszcze pomóc?

– Oprócz panny Llopis, kogo pan jeszcze rozpoznał? – zapytałem.

– Już panom powiedziałem, że nie znam żadnej z tych osób – powiedział oburzony. – Ta kobieta jest osobą publiczną. Czyż nie tak? Ostatnio pojawia się we wszystkich gazetach.

– Proszę dać sobie spokój z tymi bajkami... – naciskał inspektor.

– Bardzo mi przykro, panie inspektorze, ale musimy dbać o prywatność naszych klientów – wyjaśnił mężczyzna, jakbyśmy go oskarżali. – Jest to miejsce, do którego politycy, przedsiębiorcy i osobistości publiczne przychodzą nie tylko ze względu na wyśmienitą kuchnię, ale również dlatego, że mogą liczyć na naszą dyskrecję. Chyba mnie pan rozumie?

Botella spojrzał mi w oczy.

– Proszę posłuchać.... może pan mnie zrozumie... – powiedział z kamiennym wyrazem twarzy. – Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa tej kobiety, a wszystko wskazuje na to, że była tutaj kilka godzin przed śmiercią, w towarzystwie osoby, której tożsamości niestety nie znamy... Powiem więc tak, aby wszystko było jasne. Może nam pan pomóc i powiedzieć, kogo rozpoznał na zdjęciu, i już nigdy nas tu nie zobaczyć. Może pan też zgrywać bohatera i wrócić do swojej kuchni, a wtedy, przyrzekam panu, w sobotę zrobimy nalot z nakazem przeszukania... I zepsujemy panu sobotni utarg! Co pan na to?

Mężczyzna spocił się. Jego czoło wyglądało jak wypastowane brylantyną. Przelknął ślinę z taką siłą, że prawie usłyszeliśmy odgłos pękającego jabłka Adama. Botella pokazał jeszcze raz zdjęcia, a kierownik, tym razem z większą gorliwością, skoncentrował się na nich.

Ale to był dopiero początek łamigłówek. Mężczyzna wycelował palec wskazujący i powiedział niespodziewanie:

– To ten pan. Jedli kolację razem przy jednym stole.

– Caballero? – zwrócił się do mnie inspektor. Obaj patrzyli na mnie zdezorientowani. – Chcesz coś powiedzieć?

Kierownik wskazał na jednej z fotografii twarz Antonia Hidalga.

– Jest pan pewien, że to ten człowiek? – zapytałem drżącym głosem.
Żołądek miałem ściśnięty.

– Tak pewien, jak imienia mojej matki – potwierdził pracownik.

Antonio Hidalgo, co tym razem nabroiłeś?

Jeden.

Dwa.

Zeszło z nas napięcie.

– Caballero? – zwrócił się do mnie inspektor i wymierzył mi kuksańca w ramię. – Dobrze się czujesz, czy jak?

– Nie – odpowiedziałem. – Mamy przechłapanie, inspektorze.

11

Inspektor Botella stał kilka metrów od wejścia do Nou Manolín, i z papierosem w ustach rozmawiał przez telefon. Nie mogłem uwierzyć, że Hidalgo wdepnął w takie bagno. Nie – to nie w jego stylu. Jego kłopoty to spódniczki, alkohol, brak snu, prowokacje, ale coś takiego? W życiu! Wyrzuciłem niedopałek i zdeptałem nogą. Zobaczyłem Botellę, przeciskającego się do mnie przez tłum.

– Gdzie jest twój koleżka, Caballero? – zapytał policjant, stojąc w pomarańczowym świetle ulicznych latarni.

– Nie wiem, inspektorze – odpowiedziałem. – Pozwoli pan, że porozmawiam z nim pierwszy.

– Jasne, że ci pozwolę – powiedział. – Dawaj, dzwoń i zapytaj go, gdzie się włóczy.

– Miałem na myśli rozmowę w cztery oczy – odpowiedziałem. – Sam pan wie, jak zachowuje się w obecności policji.

Botella zbliżył się o krok.

– Posłuchaj mnie, chłopcze – powiedział szorstko. – Nie pozwolę, abyś ostrzegł swojego koleżkę. Nie utrudniaj mi pracy, Caballero.

– Ależ nie, do cholery... – odpowiedziałem, robiąc krok w tył. – Po prostu wątpię, aby Hidalgo był zdolny do czegoś takiego. Na Boga! Nigdy by tak nie postąpił. Jestem pewien, że da się to wytłumaczyć, Botella. Musisz mi ufać.

– Dzwoń, Caballero – powiedział, jakby nie słyszał tego, co powiedziałem.

Wyjąłem aparat z kieszeni, wyszukałem numer Hidalgo i nacisnąłem przycisk z zieloną słuchawką. Botella gestem pokazał, że chce rozmawiać,

więc przekazałem mu telefon.

– Nieźle... – powiedział policjant. – Jest sygnał, ale nie odbiera... Pewnie chleje w jakimś barze?

Modliłem się, aby Hidalgo przez pomyłkę zostawił telefon w domu, wyciszył dzwonek lub stało się coś – Bóg wie co – byleby nie mógł rozmawiać z Botellą.

– Nie odbiera?

– Dobra, trzymaj – nie wiadomo gdzie jest... – powiedział i oddał mi aparat. Potem spojrział na zegarek. – Kurwa! Jest już prawie wpół do dziesiątej. Moja żona pewnie szykuje kolację i jest w paskudnym humorze...

Przypomniałem sobie o Patrycji.

– Będzie lepiej, jak na dziś skończymy – powiedziałem. – Odpoczynek dobrze nam zrobi.

– Masz szczęście, że twój przyjaciel nie odbiera, a ja obiecałem mojej żonie kino dziś wieczorem.

– Na to wygląda, inspektorze.

– Caballero?

– Tak?

– Nie przeginaj, bo skręcę ci kark – ostrzegł kiwając palcem. Inspektor Botella dogadałby się z Ortizem. – Nie pakuj się w kłopoty i przypilnuj swojego kolegi, bo i tak go znajdę, i będzie jeszcze gorzej. Musisz mi pomóc rozwikłać tę sprawę, a jeżeli to on otrul Llopis, to za to zapłaci.

– Nie wątpię w to, inspektorze.

– Zadzwoń w poniedziałek, jak tylko dowiem się czegoś o raporcie dowodowym – powiedział. – A ty nie pij za dużo i trzymaj gębę na kłódkę. Twojemu szefowi, ani słowa.

– Tak jest – odpowiedziałem na odchodne. – Życzę miłego weekendu, inspektorze.

Gdy tylko straciłem Botellę z oczu, wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu. Musiałem przemyśleć wszystko, co się dzisiaj wydarzyło. Zbyt dużo informacji, za wiele zdarzeń.

Wisienką na torcie w całej tej historii było pojawienie się Hidalgo w ostatnich godzinach życia Llopis. Dlaczego zataił przede mną tę znajomość? To nie był powód do wstydu – przeciwnie. Jednak na tle ostatnich wydarzeń, fakt, że oboje stanęli do wyborów na rektora, zaczął wzbudzać we mnie podejrzenia.

Z drugiej strony nadal nie wiedziałem, co myśleć o Antoniu Macii. Było

oczywiste, że ten lotr szantażował pannę Llopis. Dlaczego tak szybko opuścił miejsce zdarzenia?

Niestety nadal dysponowaliśmy jedynie poszlakami: ślady arszeniku i DNA dwóch nieznanych osób na ciele Llopis, firma farmaceutyczna zajmująca się onkologią oraz kolacja Llopis i Hidalgo w Nou Manolín.

Ta historia nie składała się w całość.

Sprawcą mógł być każdy, nawet kobieta sprzątajaca gabinety profesorów.

Zaparkowałem samochód pod areną walk byków i ruszyłem pieszo. Kupiłem kilka puszek piwa i paczkę parówek. Zupełnie zapomniałem o Patrycji, która czekała na mnie prawdopodobnie w kiepskim humorze.

Kiedy wszedłem na piętro, drzwi były otwarte.

– Skąd wiedziałaś, że to ja? – zapytałem. Patrycja wyglądała fenomenalnie. Ubrana była w czarne, obcisłe dżinsy, mokasyny i białą koszulkę, a na twarzy miała makijaż Umy Thurman.

– Byliśmy umówieni.

Dziwne. Nic sobie nie przypominałem.

– Już jestem – powiedziałem. – Piwo przed wyjściem?

– A po co parówki? – zapytała z niedowierzaniem.

– To do pracy, bo nie mam nic...

– Idź do diabła, Gabriel! – krzyknęła i trzasnęła drzwiami.

Wszedłem do kuchni, postawiłem torbę i otworzyłem puszkę piwa. Wziąłem duży łyk. Potrzebowałem tego.

– O co ci chodzi tym razem? – zapytałem, słysząc jak Patrycja klnie pod nosem, na czym to świat stoi.

– Nie! To ty mi powiedz, o co ci chodzi!

Wymuskał mi się uśmiezek – konsekwencja absurdalnej sytuacji. Jednak Patrycji wcale nie było do śmiechu.

– Pati, posłuchaj – powiedziałem, tuląc rękoma jej twarz. – Nie wyobrażasz sobie, co odkryłem... A raczej, co odkryliśmy z inspektorem Botellą...

– Byłeś z tym policjantem? – zapytała coraz bardziej rozwścieczona. Za chwilę miał mnie pochłonąć ognisty poddmuch smoka.

– Chodzi o Hidalgo i tę kobietę, która zmarła kilka dni temu. To, co odkryliśmy, to nie zabawa...

– Do cholery, Gabriel... Co ja ci powiedziałam?

– Ależ... Posłuchaj mnie! Na Boga! – wykrzyknąłem, gdy po raz kolejny mi przerwała. – To poważna sprawa, już ci mówiłem.

– Nie! – wrzasnęła i walnęła pięścią w drzwi. – Obiecałeś mi, że to zostawisz. Widzisz? Zawsze robisz to samo.

– Czy ty nie rozumiesz? – zapytałem.

– To ty nie rozumiesz! – krzyknęła na cały głos. – Nie-chcesz-zro-zu-mieć! Na litość boską!

Patrycja była bliska płaczu, ale powstrzymała się i zapaliła papierosa.

– Od kiedy palisz? – zapytałem zdziwiony.

– Posłuchaj... Gabriel. Mam dosyć – powiedziała łamiącym się głosem. Ręce jej drżały. – Już dłużej tego nie wytrzymam. Dałam ci szansę, a ty zawiodłeś mnie przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Idź lepiej do lekarza, naprawdę.

– Patrycja, zrozum mnie, to poważna sprawa.

– Tak... oczywiście... – powiedziała cała drżąc. – Dzisiaj ta historia, jutro inna i tak w koło Macieju... Mam chłopaka, którego częściej widuję na zdjęciu w portfelu niż w rzeczywistości. Mam chłopaka, z którym więcej rozmawiam przez telefon, niż osobiście... To nie jest życie, Gabriel, ty to wiesz, ja to wiem, wszyscy mi to mówią...

– Twoja rodzina jest trochę toksyczna, łatwo cię zwieść Pati...

– Wal się, dobrze? – odpowiedziała. Nigdy tak do mnie nie mówiła. Zaraz miała nastąpić eksplozja. – Postanowiłam, już postanowiłam... Kończę tego papierosa i odchodzę, tak po prostu, to koniec...

– Daj spokój kobieto, nie mów głupot...

– Masz rację – odpowiedziała. – Nie mam zamiaru kończyć papierosa.

Zgasiła niedopalek w popielniczce i wybiegła jak pocisk do sypialni. Poszedłem za nią i obserwowałem, co robi. Złapała walizkę, wrzuciła do niej garść ubrań, laptopa i swoje płyty. Zamknęła ją gwałtownie, chwyciła za rączkę i wyszła.

– Patrycja! Poczekaj! – krzyknąłem, ale już zniknęła na klatce schodowej.

Hiszpańskie kobiety! Stanowcze i porywcze. Tak różne od kobiet z innych krajów. Nie rzucają słów na wiatr i robią to, co mówią – bez zastanowienia. Patrycja wyprowadziła się z mieszkania. Nie na zawsze, ale na pewien czas. Dokąd? Nie miałem pojęcia, ale wiedziałem, że to jej dobrze zrobi. Nasz związek legł w gruzach. Gdy wreszcie zamknąłem drzwi, zobaczyłem na podłodze porozrzucone kawałki serca, nóż w kuchni ociekał przykrymi uwagami, a ze ścian sączyły się słowa przygnębienia. Patrycja odeszła i zabrała wszystkie swoje płyty. Jednak nikt nie czuje się samotnie, gdy może

posłuchać saksofonu Coltrane'a. Otworzyłem pudełko z albumem Blue Train i włożyłem płytę do odtwarzacza.

Za kilka godzin Patrycja przeczyta moją odpowiedź w gazetach. Dowiedę jej i wszystkim wokół, że nie jestem naiwnym reporterem marzycielem z prowincjonalnego dziennika.

Dźwięki saksofonu wypełniły apartament. Piwo splywało do żołądka. Otworzyłem drugą puszkę, a potem trzecią. Coltrane wciąż grał. Pograżony w myślach, doszedłem do wniosku, że muszę zarzucić przynętę na naszego domniemanego mordercę. Dysponowałem wystarczającymi dowodami, aby wznowić śledztwo oraz utrzymać nosa konkurencji, Ortizowi i reszcie świata. Musiałem tylko dopracować hipotezę i opublikować wiadomość w jutrzejszym wydaniu, bez wiedzy szefa.

Spojrzałem na zegarek. Był piątek, dziesiąta w nocy.

Ortiz pewnie ogląda w domu film, który puszczają co tydzień na kanale La 2.

Byłem pełen sprzeczności. Mogłem wykorzystać dobrą passę, pojechać do redakcji i obudzić miasto z rana. Mogłem napisać artykuł, który postawiłby na nogi całą policję, nadepnał na odcisk klasie politycznej i wywabił tłumy na ulicę. Ale mogłem też nie ruszać się z miejsca i zastanawiać się, co mam zrobić, żeby Patrycja wróciła do łóżka nie każąc mi człochać się po podłodze. Żadna z tych opcji nie była poprawna. Albo zdradzę siebie samego, albo całą resztę.

Czułem jak alkohol ciągle krąży w żyłach i trawi pusty żołądek.

Wybrałem numer Hidalgo

Zgłosiła się poczta głosowa.

Przykro mi – powiedziałem na głos.

Włączyłem laptop i postawiłem go na stole. Zapaliłem papierosa i utworzyłem nowy dokument w Wordzie. Powoli poddawałem się pisarskiej magii. Wiedziałem, że mam talent do fikcyjnych historii. Niestety to, co miałem zamiar napisać, było oparte na faktach. W jednym miejscu trochę podkoloruję, w innym dołożę nutkę sensacji i tuż po północy będę miał artykuł gotowy do jutrzejszego wydania. Powinienem się pospieszyć. Miałem tylko kilka godzin na zmianę ostatecznej wersji makiety i umieszczenie w niej medialnej bomby.

Wsiadłem do taksówki. Po chwili już wchodziłem do budynku gazety i pozdrowiłem portiera, który przysypiał podczas oglądania filmu dla dorosłych. Po wejściu do redakcji sprawdziłem, czy na pewno jestem sam.

Włączyłem komputer. Nie było już odwrotu. Widział mnie portier. Moja nazwa użytkownika została zapamiętana w rejestrze pamięci komputera. Nie będą nikogo podejrzewać, bo jest tylko jeden winowajca.... A może bohater.

Podłączyłem pendrive'a, otworzyłem dokument i skopiowałem artykuł.

– Ortiz, stawiasz kolejkę – powiedziałem dumny i pijany. Szef nigdy nie zapomni okładki tego wydania.

Nacisnąłem enter i wysłałem dokument do drukarni. Wkrótce maszyny zaczną pracować. Za kilka godzin wszystkie kioski opowiedzą najbardziej makabryczną historię ostatnich lat.

W sobotni poranek obudziły mnie promienie słońca. Dochodziła dziesiąta. Nie czułem już mdłości, tylko lekka gorycz w ustach przypominała niewinny wyskok poprzedniej nocy. Rozczarowałem się dopiero wtedy, gdy obróciłem się na bok, chcąc objąć Patrycję. To nie był sen. Odeszła naprawdę. Wstałem. W podkoszulku i slipach skierowałem się w stronę łazienki i w tej chwili zadzwonił telefon, leżący na stoliku..

– Och, nie... – westchnąłem, gdy przypomniałem sobie, co zrobiłem w nocy. Miałem mieszane uczucia, bo nie wiedziałem co przyniesie ta rozmowa. Obawiałem się słów, które padną. Złość? Wściekłość? Często intuicja wysyła nam sygnały pozwalające zidentyfikować zagrożenie. Nie byłem pewien, czy to, co zrobiłem było dobre czy złe, więc nie potrafiłem odczytać tych sygnałów.

Podszedłem do telefonu. Na ekranie widniał nieznany mi numer.

– Tak? – zapytałem.

– Włącz telewizję – powiedział suchym i poważnym tonem inspektor Botella. – No już. Włącz Canal 9.

Włączyłem telewizor i wybrałem kanał regionalny. Reporter, stojąc w drzwiach auli uniwersytetu, relacjonował opublikowaną wiadomość.

– Gównu.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał retorycznie głos ze słuchawki. Nie czekał na odpowiedź. – Mówiłem ci... Teraz nie mogę rozmawiać. Wytoczą mi sprawę. Zapłacisz mi za to, Caballero.

Odłożył słuchawkę.

Poczułem jak ziemia ucieka mi spod nóg. Rzuciłem telefon na kanapę i dokończyłem oglądanie programu.

Telefon zadzwonił ponownie.

Na drżących nogach podszedłem do aparatu i na wyświetlaczu zobaczyłem nazwisko Hidalgo

– Nareszcie się odzywasz, Antonio – powiedziałem przejęty. – Nie wiesz, przez co przeszedłem...

– Czyś ty oszalał? – powiedział zbulwersowany. – Coś ty do cholery nawyrabiał, Gabriel! Naopowiadałeś pieprzonych głupot! Chcę publicznych przeprosin! Natychmiast!

– Antonio, poczekaj...

– I ty mi mówisz, że jesteś moim przyjacielem? Mówiłem ci, żebyś się nie mieszał! Kurwa!

– Ale Antonio... Jest coś, o czym musisz mi opowiedzieć.

– Nie dzwoń więcej do mnie – odpowiedział. – Nie chcę oglądać twojej gęby przez jakiś czas.

Połączenie zostało przerwane.

Czułem się, jakby pochłaniały mnie czeluści piekła.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

Już wiedziałem, że to będzie najdłuższa sobota w moim życiu.

Spojrzałem na ekran. Dzwonił ktoś z redakcji. Miałem więc stawić czoła ostatniemu wrogowi, Ortizowi.

– Ortiz, słuchaj, wszystko ci mogę wytłumaczyć...

– Oszalałeś? – zapytał, najwyraźniej czekając na moje wytłumaczenie. – Lepiej, żeby w tym artykule było choć ziarno prawdy, idioto. W przeciwnym razie będziesz skończony. Obaj będziemy skończeni!

Połączenie zostało znowu przerwane.

Rzuciłem się na sofę. Nie było nawet cienia nadziei, że ktoś mnie wesprze. Nikt nie stanie po mojej stronie.

Byłem żalosną kupą mięsa.

Jeszcze raz zadzwonił telefon, ale tym razem zignorowałem dzwonek.

Ruszyłem na miasto w poszukiwaniu odpowiedzi – kolejny raz.

12

Czułem się jak oszukany malolat, który przegrał z powodu braku dojrzałości i dumy. Na ekranie starej komórki pojawiały się i znikwały raz po raz nowe, nieznane mi numery. Niestety żaden z nich nie był numerem Patrycji. Nie udało mi się zwrócić jej uwagi, nawet na tyle, żeby mi przypomniała, jaki byłem patetyczny.

Moje dni w gazecie były policzone. Muszę jednak przyznać, że to, co zrobiłem, nie było powodowane alkoholem, ale wynikało z moich przekonań. Uplęzło trochę czasu zanim zaakceptowałem, że tak właśnie było. Alkohol był tylko paliwem, którego potrzebował rozgrzany silnik. Dałem się ponieść przeznaczeniu.

Wziąłem klucze, zszedłem po schodach i ruszyłem uliczkami zabytkowej dzielnicy El Barrio. Lawirowałem pośród ponurych barów i ich intrygującego towarzystwa. Tuż przed zachodem słońca błąkałem się samotnie po ulicy Labradores, szukając szybkich znajomości i rozrywki. El Desdén był miejscem, w którym można było się upić bez krępującego nagabywania. Dyskretni kelnerzy serwowali alkohol, a jedyne pytania z ich strony dotyczyły tego, czy masz drobne. Miasto Alicante muzycznie już dawno przeobraziło się w swego rodzaju burdel, w którym rock inspirował się innymi gatunkami, a rozmowy o polityce wróciły do mody. Odstawiłem piwo i ruszyłem do Mono Bar, ciemnej i barwnej nory, wypełnionej zróżnicowaną muzyką i tańczącą klientelą w przykuwających uwagę strojach – przeważnie mężczyznami, których wygląd zdradzał, że z niejednego pieca chleb jedli. Kolebka rocka, złych chłopców, którzy nigdy nie dorośli. Dzielnica El Barrio była kryjówką, w której chowałem się przed pannami z ulicy Castaños.

Wieczór zamienił się w noc. Podawany alkohol sprawiał, że mój portfel

stawał się coraz chudszy. Pijany, z ciężką głową, zdecydowałem się na spacer do portu. Przeszedłem przez aleję Explanada i ruszyłem molo prowadzącym do dyskotek portowych i kasyna – Casino Mediterráneo de Alicante – koszmarnego budynku ozdobionego kolorowym oświetleniem, przypominającym dawne neony na burdelach. Przy wejściu do kasyna, gdzie musiałem opędzać się przed roznosicielami ulotek, skręciłem w kierunku budki z hamburgerami i hot-dogami, w której od lat posilali się studenci wracający nad ranem do domu.

Kupiłem hamburgera z sadzonym jajkiem, frytki, puszkę piwa Mahou, i usiadłem przy aluminiowym stoliku na tarasie. Pachniało smażonym olejem, wilgocią i smołą z zacumowanych łodzi.

Ludzie patrzyli na mnie. Noc dopiero się zaczynała, choć dla mnie miała się ku końcowi. Czulem się jak turysta z innej strefy czasowej. Miałem kiepski dzień i bałem się, że ktoś mnie rozpozna. Nie spodziewałem się jednak takiej nienawiści i pogardy, jaką mieli w oczach przechodnie.

Podeszła do mnie dziewczyna. Była piękna. Tak mi się przynajmniej wydawało pod wpływem bąbelków. Światła nocy odbijały się w jej pozłacanym stroju.

– Cześć... Jak się masz? – zapytała znudzonym głosem roznosicieli ulotek, którzy posługiwali się formułkami wypowiedzianymi automatycznie, jak seriami karabinowymi bez siły rażenia. – Słuchaj, zostawiam ci kupon na dwa drinki w cenie jednego, do baru Coyote, jeśli masz ochotę...

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Czekał... – powiedziałem nie wstając z krzesła. – Czy mogę zadać ci pytanie?

– Jasne, o ile dotyczy drinków...

– Powiedz mi – przerwałem jej. – Gdybyś utrzymywała relacje z dwoma mężczyznami... Jak pozbyłabyś się jednego z nich?

– Po co miałabym to robić? – zapytała dziewczyna, najwyraźniej ciekawa mojej odpowiedzi.

– Nie wiem, dla kaprysu.

– Musiałabym być kapryśna, nie? – odpowiedziała. – Ale gdybym miała to zrobić – nie wiem... Powiedziałabym, że widuję się z innym, że to moje życie.

– Tak, tego się spodziewałem – powiedziałem. – A gdyby było na odwrót?

– Facet z dwoma kobietami?

– Nie, gdybyś ty była jednym z mężczyzn.

Dziewczyna roześmiała się.

– Ach! Nie wiem... – odpowiedziała. – Ty jesteś facetem. Powinieneś wiedzieć, co robić.

– Potrzebuję kobiecej opinii.

– Rozumiem... – powiedziała. – Myślę, że chciałabym się zemścić, dla kaprysu. My, kobiety, tak właśnie mamy... Albo jesteś ze mną, albo sam.

Zaśmiała się ponownie.

– No nie, nie spodziewałem się takiej odpowiedzi... – powiedziałem. – Jak ci na imię?

– Widzisz? – powiedziała zdziwiona i zdegustowana. – Wiedziałam, że to jeden z tych chwytów typowego podrywacza, niestety nie wyszedł ci...

– To nic wielkiego, to ty do mnie podeszłaś.

– Taka moja praca, a teraz muszę do niej wracać.

Dziewczyna odwróciła się i zniknęła.

Ta rozmowa nic mi nie dała. Dziewczyna nie miała złych intencji i może dlatego jej odpowiedź nie pasowała do mojej teorii. Jednak to właśnie motywu zemsty nie brałem pod uwagę w minionych dniach. Hidalgo unikał mnie, nie chciał rozmawiać o Llopis, i dlatego zacząłem budować trójkąt miłosny pomiędzy nim, Monicą i Macią. Zrozumiałem, że od teraz będę miał mocno pod górkę. Nie wiedziałem, do kogo należały ślady genetyczne na ciele Moniki. Z drugiej jednak strony, byłem prawie pewien, że musiał je zostawić Hidalgo

Miałem przeczucie: Llopis i Hidalgo utrzymują dobre stosunki do momentu pojawienia się na uniwersytecie Macii wraz z jego pazernością. Zakazany romans – chociaż był tajemnicą poliszynela – znajduje się w niebezpieczeństwie z powodu ambicji Llopis, która ulega Macii i jego materialistycznej wizji. Llopis i Macią sypiają ze sobą, co podnieca przyszłą rektor, ale nie na tyle, aby zostawić Hidalgo. To właśnie mogło być powodem, dla którego Llopis z wyjątkową ostrożnością oddzielała życie prywatne od zawodowego. Żyła w trójkącie miłosnym, spotykając się na zmianę ze swoimi kochankami do momentu, kiedy straciła czujność. Koniec końców, Hidalgo dowiaduje się, że utrzymuje stosunki z innym mężczyzną i nie wytrzymuje ciosu. Albo może dowiaduje się o tym Macią.

Hidalgo staje do wyborów, aby w poetyckim akcie zemsty odwzajemnić się kochance i uderzyć w najczulszy jej punkt. A może to Macią chciał się jej pozbyć, gdy dowiedział się, że Llopis i Hidalgo byli razem? W końcu to

jego pieniądze finansowały jedno z nich, a może nawet ich dwoje.

Kręciło mi się w głowie, odczuwałem pierwsze objawy kaca w postaci dokuczliwych dreszczy, ale moja teoria nabierała sensu.

Wróciłem do domu na piechotę wspinając się pod górę niekończącą się drogą prowadzącą do areny walki byków. Wiał orzeźwiający, nocny wiatr, który pomagał złagodzić nietrzeźwość. Kiedy mijalem targ, za moimi plecami ktoś uruchomił samochód. W pierwszej chwili pomyślałem, że po prostu ktoś wraca z imprezy. Potem zauważyłem, że kierowca nie włączył świateł. Ulica była wąska, a bary były o tej porze zamknięte. To był duży samochód, ale nie widziałem kierowcy. Auto nabierało prędkości, a ja szedłem coraz szybciej. Nagle kierowca dodał gazu, najwyraźniej próbując mnie przejechać. W ułamku sekundy odskoczyłem pomiędzy kosze na śmieci. To mnie uratowało. Pojazd uderzył w zielony pojemnik i gwałtownie zahamował. Oszolomiony, zacząłem biec ile sił w nogach. Biegłem niekończącymi się zaułkami, aż do utraty tchu. Serce biło mi jak szalone. Zderzenie z koszem musiało zwrócić czyjaś uwagę i nieudacznik za kierownicą zaprzestał pościgu. Rozbolał mnie żołądek, a ból nasilał się tak bardzo, że gdy tylko dotarłem do domu, rzuciłem się do sedesu, po czym zwróciłem do niego breję składającą się hamburgera i litrów alkoholu.

Bolała mnie głowa. Wszystko zadziało się tak szybko, że ledwo co zapamiętałem. Nadal będąc w szoku, rozebrałem się i wszedłem pod prysznic. Nogi drżały pode mną. Czulem się strasznie przybity.

Kilka minut później, nieco już zrelaksowany za sprawą strumienia gorącej wody, uświadomiłem sobie, że jeden z tych dwóch nieszczęśników otrul arsenikiem Monikę Llopis, i że dowiem się niebawem kto. Chociaż chcą mnie zastraszyć, nie ugnę się. Maciá dysponował odpowiednimi środkami. Najpierw jednak muszę z nim porozmawiać i dowiedzieć się z kim mam do czynienia. Z drugiej strony, Hidalgo pasował do drugoplanowej postaci powieści – humanista, wykształcony i wrażliwy.

Doskonały powód, aby stać się doskonałym mordercą.

Musiałem opowiedzieć o tym inspektorowi Botelli.

W poniedziałkowy poranek obudziłem się trzymając w ręce pilot do telewizora. Nie wiem, jak dotarłem na sofę. Wymioty przed snem zapobiegły koszmarowi dnia następnego.

Oplukalem twarz zimną wodą i wyszedłem na ulicę. Przeciałem aleję Alcoy i poszedłem do baru sąsiadującego z placem. Chciałem przeczytać

gazety i napić się kawy. W barze ruch był jak w dzień wolny od pracy – stali, poranni bywalcy, przyjaciółki na kawie i ci, którzy zaczynali aperitif przed zwyczajową porą.

Pachniało tostami z oliwą, kawą z ekspresu i świeżo pokrojoną szynką.

Usiadłem na taborecie przy barze i zacząłem czytać dziennik „Información”, czekając na przygotowywaną mi przez kelnera kawę.

– Szykuje się skandal jakich mało – powiedział barman przyglądając się stronie tytułowej. Widniał na niej inspektor Botella w pełnej krasie. Policjant został zawieszony i zwolniony z pełnienia obowiązków skutkiem błędów popełnionych podczas samodzielnego śledztwa w zamkniętej sprawie. Ale to nie było wszystko. Na pierwszy plan wysuwał się Antonio Hidalgo, który oficjalnie zgłosił swoją kandydaturę do nowych wyborów rektora. Universidad de Alicante nie zajął jeszcze stanowiska w sprawie procedury nadania urzędu. Spodziewano się, że nieszczęśliwy wypadek Llopis pójdzie w zapomnienie. Jednak Hidalgo nie mógł się doczekać i dla zdobycia rozgłosu sprzedał tę informację na wyłączność mojej konkurencji.

– Sukinsyn – wymruczałem pod nosem.

– U nas, kto pierwszy ten lepszy – odpowiedział kelner.

– A kto je ostatki, ten piękny i gładki – powiedział wąsаты mężczyzna w przeciwsłonecznych pilotkach, koszuli rozpiętej na piersi i złotym łańcuchu z krzyżem na szyi, po czym zaśmiał się ze swojego dowcipu. Kelner, kilka lat od niego młodszy, puścił do mnie oko i wrócił do pracy.

Ortiz nie zadał sobie trudu, aby opublikować coś związanego ze sprawą. Głównie dlatego, że nie miał, co napisać. Wyobrażałem sobie, że redakcja musi przypominać piekło z Ortizem ryczącym z wściekłości i stażystami jękającymi się ze strachu.

Oderwałem wzrok od wielkich nagłówków, które tylko przykuwały uwagę i przesłaniały inne wiadomości. Przeszedłem do kolumn, o których rzadko się pamięta. Kilukrotnie w wiadomościach wspomniano o fakultecie biologii i nauk ścisłych uniwersytetu. Instytucja była w dobrej kondycji. Jedno z najważniejszych badań ostatnich lat, otrzymało zielone światło. Analizy zakończyły się pozytywnym testem. Laboratorium wynalazło metodę zwalczania nowotworowych komórek macierzystych.

– Coś ci powiem... – powiedział kelner zbliżając się do mnie. – To wierzchołek góry lodowej. Uniwersytety są przegrane, skorumpowane przez polityków tego kraju. I nie chcą, aby to wyszło na jaw. Ten, kto napisał tamten fałszywy artykuł, dopiął swego.... Otworzył puszkę Pandory i jeszcze zobaczysz, przez niego przyskrzynią wszystkich, już niedługo...

Założę się! To banda oszustów, która ma wiele do stracenia, tak to już jest...

Mężczyzna dalej ciągnął swój poranny, niedzielny wywód, ale ja zgłębiałem już treść etykiety butelki brandy Magno i podobieństwa pomiędzy przeczytanym artykułem, a firmą Antonio Macii.

– Zrobi mi pan przysługę? – powiedziałem przerywając mu monolog. – Poda mi pan kawę z koniakiem?

Mężczyzna otworzył szeroko oczy i zamilkł. Odwrócił się na pięcie i zabrał się za robotę. Już po chwili podał zamówiony napój.

– Proszę, kawa. – powiedział i postawił filiżankę na barze. Następnie chwycił butelkę i wlał do niej trochę brandy. – I coś na rozweselenie.

Popatrzyłem na filiżankę z góry. Brandy uformowało czarną plamę przypominającą źrenicę. Na końcu baru jednoręki bandyta oznajmiał czyjaś wygrana.

Gorycz alkoholu, drażniącego gardło, rozbudziła moje zmysły.

Coś mi podpowiadało, że powinienem się pospieszyć. Wkrótce policja przeszuka, o ile już tego nie zrobiła, mieszkanie Moniki Llopis i jej miejsce pracy. Wraz z tą operacją znikną dowody.

Obiecałem sobie, że nie strzelę już nigdy więcej takiej gafy jak ostatnio. Nie wpadnę w żadne kłopoty i nie będę kierować się emocjami.

Botella – jego twarz zawirowała mi przed oczami.

Tylko on mógł pomóc mi odzyskać honor i doprowadzić sprawę do końca, a on sam, tylko dzięki mojej pomocy, mógł odzyskać pracę.

Wcześniej jednak musiałem kogoś odwiedzić.

Antonio Maciá, przedsiębiorca farmaceutyczny, nie ucieszy się na mój widok.

13

Oparłem się o maskę Seata Ibiza, zapaliłem papierosa i zmierzylem wzrokiem fasadę Fharma S.A – dwukondygnacyjnego, funkcjonalnego budynku z przeszklonymi ścianami. Prezesem Fharma był Antonio Maciá. Siedziba znajdowała się na terenie parku biznesowego w Torrellano, w regionie Elche. Park gościł stare i nowe firmy, które walczyły o rynki dużych miast, takich jak Barcelona czy Madryt. Były to firmy handlujące obuwem i ubraniami. Cała sprzedaż szła do wielkich międzynarodowych koncernów oferujących hiszpańskie marki. Była to prawdziwa Dolina Krzemowa dla rodzimych produktów.

Ruszyłem palmową aleją, chcąc dotrzeć do biura Fharma, zanim do pracy przyjedzie jej prezes. Co prawda, szefowie nie słyną z punktualności. Nigdy nie przychodzą na wyznaczoną godzinę. To kwestia statusu. Szef zawsze przychodzi później i wychodzi wcześniej. W ten sposób zazdrość pracownika przeradza się w ambicję awansu.

„Będziesz robić co zechcesz, gdy dorośniesz”, powtarzał mi Ortiz.

Świat nie funkcjonuje już tak, jak w ciągu ostatniego półwiecza. Rewolucja technologiczna sprawiła, że wszystko jest możliwe. Wielu osobom, takim jak Ortiz, do głowy nawet nie przychodzi myśl, że w niedalekiej przyszłości nie będzie szefów, stabilnych posad, a także biur. Jesteśmy u progu Wielkiego Wybuchu. To tylko kwestia czasu.

Wypogodziło się. Promienie słońca zaczynały kłuć mnie w plecy, więc postanowiłem wejść do baru i tam poczekać na otwarcie biur.

Zamówiłem kawę i usiadłem na tarasie. Kelner szybko zrealizował zamówienie.

– Mam pytanie – powiedziałem. – Czy wie pan, o której zaczynają pracę

tam, na przeciwko?

– Nie czyta pan gazet?

– Zależy, które.

– Przez skandal z uniwersytetem – wyjaśnił mężczyzna, spoglądając na fasadę budynku – zdaje się, że niewielu przyjdzie do pracy. Jeszcze kilka dni temu pełno tu było pismaków.

– Z czegoś muszą żyć.

– Tak, jasne... – odpowiedział i zawahał się, czy mówić dalej. – Według mnie, mogliby coś zamówić, a nie tylko korzystać z łazienki...

– Nie jest dobrze.

Mężczyzna dał spokój komentarzom. Najwyraźniej zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty na rozmowę.

– Nie wiem, pan spróbuje zadzwonić do drzwi za jakiś czas – powiedział zrezygnowany – a jeśli nie, to lepiej iść do domu... W każdym razie, wydaje mi się, że z tego nic nie wyjdzie... Coś jeszcze podać?

– Nie, nie trzeba, dziękuję.

– Chyba nie jest pan dziennikarzem? – powiedział ironicznie, próbując mnie rozweselić.

– Tak się składa, że jestem.

Po dyskusji z kelnerem, który zapewne przez cały dzień powtarzał wszystkim tę samą historię, zapłaciłem za kawę i ruszyłem w stronę budynku. Od chwili, kiedy usiadłem w barze, nikt nie wszedł do biura. Również na parkingu, w miejscach zarezerwowanych dla pracowników, nie było żadnego samochodu. Podeszedłem do domofonu i ujrzałem przycisk z logo Pharma S.A.

Nacisnąłem. Usłyszałem dźwięk dzwonka.

Jeden.

Dwa.

Tik-tak.

Nikt nie odpowiadał.

Spojrzałem w górę i na jednym z narożników budynku zobaczyłem białą kamerę monitoringu.

Trzy.

Cztery.

Tik-tak.

Coś przykuło moją uwagę – pewien szczegół, który pominąłem.

Potężne BMW X3 Macii stało zaparkowane na prostopadłej ulicy. Jednak to nie jego obecność mnie zainteresowała, a lekkie otarcie na prawym zderzaku.

Już miałem ruszyć w stronę samochodu, kiedy ktoś otworzył drzwi, nie pytając, kim jestem.

Skoczyło mi ciśnienie.

– To tylko zbieg okoliczności, Gabriel – szepnąłem do siebie.

Spojrzałem ponownie na kamerę. Urządzenie ani drgnęło. Zerknąłem w kierunku baru po drugiej stronie ulicy, ale kelner był w środku i nie widział mnie. Włożyłem rękę do kieszeni i wyczułem telefon.

Muszę przyznać, że brakowało mi odwagi, aby wejść. Jednak po chwili wahania, zrobiłem to. Pchnąłem drzwi i przekroczyłem próg biurowca.

Wewnątrz, za aluminiową ladą recepcji siedziała kobieta. Wnętrze wydawało się olbrzymie, a może tylko tak na moje zmysły działał efekt przeszkłonych ścian. Z krzesła za recepcją podniosła się piękna, ciemnowłosa dziewczyna. Miała dwadzieścia kilka lat, ubrana była w krótką niebieską spódniczkę i białą jedwabną bluzkę, przez którą prześwitywał wisiorek i biustonosz.

– Witamy w Fharma. Czy był pan umówiony?

– Nie, w zasadzie nie. – powiedziałem oszołomiony jej głębokim spojrzeniem i spokojnym głosem.

– W takim razie, w czym mogę panu pomóc?

Podszedłem bliżej. Kobieta nie straciła ani trochę pewności. Wyczuwałem coś niepokojącego w jej dziwnych i chłodnych ruchach.

– Chciałbym rozmawiać z panem Macią.

– Pan Macią nie przyjmuje wizyt – odpowiedziała tak, jakby ją ciągle o to pytano. – Wiele osób chce z nim rozmawiać.

– Ale ja nie jestem zwykłym klientem – odpowiedziałem.

– Przykro mi. Takie mam polecenia. – powiedziała i uniosła palec do góry. – Proszę podać swoje nazwisko i adres poczty elektronicznej, a z przyjemnością powiadomię pana, kiedy pan Macią będzie mógł spotkać się z panem.

– Czy jest u siebie? – nalegałem.

– To nie pańska sprawa, proszę pana.

– Caballero – odpowiedziałem. – Gabriel Caballero.

– A adres pańskiej poczty elektronicznej? – zapytała pisząc na klawiaturze.

– Jestem tutaj z powodu Moniki Llopis – odpowiedziałem.

– Mało oryginalne! – powiedziała kpiącym tonem. – Małpa hotmail, gmail?

– Posłuchaj, ślicznotko – przerwałem recepcjonistce. – Powiedz swojemu szefowi, że przyszedłem z nim porozmawiać.

– Przepraszam, ale nie ma pan prawa tak do mnie mówić – proszę, żeby pan wyszedł, albo będę musiała...

– Nikt ci nie pomoże – odpowiedziałam. – Dzwon, gdzie chcesz.

Chwyciła telefon i wybrała numer.

– Ochrona? Halo?

Przeskoczyłem przez kontuar, nacisnąłem przycisk i przerwałem rozmowę.

– Powiedz swojemu szefowi, że są dowody wiążące go ze śmiercią Llopis – powiedziałem, blefując. – Jestem pewien, że będzie zainteresowany rozmową na ten temat.

Dziewczyna popatrzyła na mnie nieufnie. Dało się odczuć, że nie podobają się jej moje słowa. Czyżby Maciá miał romans z recepcjonistką?

– Antonio? – Powiedziała podnosząc słuchawkę. Ton, którym się zwracała do szefa, zdradzał ją. – Jest tu niejaki Gabriel Caballero i chce z tobą rozmawiać... Tak, to on... Zrozumiałam.

Odłożyła słuchawkę i wzięła dla relaksu głęboki oddech.

– Schodami w górę – powiedziała urażona. – Czeka na pana.

– Dzięki, piękna. – podziękowałem i ruszyłem w stronę schodów. Ale zaraz odwróciłem się do niej i powiedziałem: – Pewnie ci powiedział, że jesteś wyjątkowa? Prawda? Taka dziewczyna, jak ty, zasługuje... na kogoś lepszego. Kogoś takiego jak ja.

Dotarłem na ostatni stopień schodów prowadzących na pierwsze piętro. Poczulem silny zapach środków czystości i nowych mebli. Przede mną znajdował się korytarz z przeszklonymi ścianami, za którymi znajdowały się trzy biura, sala konferencyjna, laboratorium badawcze i pokój wypoczynkowy, w którym chyba nie dało się odpoczywać, będąc na widoku wszystkich. Taki nowoczesny wystrój pozwalał kontrolować wszystkich w biurze. Ściany ze szkła przypomniały mi jedną z atrakcji w parku rozrywki Santa Pola, gdzie zabierano mnie w dzieciństwie. Wspomnienia były przykre, bo nie lubiłem tam być.

W drzwiach stanął mężczyzna. Ubrany był w białą, dobrze wyprasowaną

koszulę i żeglarskie, kremowe, nieco przykrótkie spodnie bywalca portu morskiego i jachtów.

– Caballero – powiedział głębokim i przyjaznym głosem. Maciá miał włosy zaczesane do tyłu, a jego donośny głos wzmacniał pewność wypowiedzianych słów. Wyciągnął do mnie rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie. – Zaczynałem tracić nadzieję. Myślałem, że nigdy nie przyjdiesz.

Poufalość, na którą się zdobył, miała zmniejszyć dystans pomiędzy nami. Maciá wolał traktować mnie otwarcie, tak jak Don Vito Corleone zwracał się swoich ludzi.

Skierował się w głąb korytarza, a ja ruszyłem za nim.

– Piękne biuro – skomentowałem, przyglądając się pozostałym pomieszczeniom. – Interes musi iść dobrze.

– Coś do picia? – zaproponował.

– Wystarczy kawa – powiedziałem. Maciá włożył kapsułkę do ekspresu, nacisnął guzik i w niecałą minutę kawa stała przede mną. – Dziękuję.

– Siadaj – rozkazał.

– Nie, dziękuję. Tak mi wygodnie.

Maciá wziął głęboki oddech. Nie przywykł do sprzeciwu. Chciałem się z nim dogadać, więc posлуchałem i rozsiadłem się w obrotowym fotelu dla gości.

– Naprawdę musisz być mocno zdesperowany przychodząc tutaj sam – skomentował opierając się o szklane biurko – bez swojego przyjaciela inspektora. Obaj jesteście jak Herkules Poirot.

– Mylisz się co do mnie – odpowiedziałem i wziąłem łyk kawy.

– Twoja nieroztropność sporo nas wszystkich kosztowała, przyjacielu – wyjaśnił protekcjonalnym tonem. – W komendzie policji zrobił się niezły bajzel. W ratuszu poleciało kilka głów. A na dodatek, z tego co zrozumiałem, twojego szefa mają pod koniec roku zesłać do Murcji, podczas gdy ten inspektorzyzna... Biedaczek... A ty, winny całego zamieszania, dalej ciągniesz swoje.

– Wiesz dobrze, że jest inaczej – odpowiedziałem. – Zacierają ślady.

– Nie wiem, do czego pijesz – odpowiedział z wyzywającym uśmiechem na twarzy. – Jeszcze jeden wyskok i pozwę cię do sądu. Wiem przecież, że nie masz ani grosza na adwokata.

– Jeszcze nikogo nie skazano za mówienie prawdy.

– Mam inne powody. – odpowiedział ospale. – Na przykład sprawdzanie rejestru pojazdów po znajomości i nielegalne wykorzystywanie

nieoficjalnych wyników autopsji o wątpliwej wartości. Co sobie myślałeś? Nie tylko ty wykonujesz swoją pracę.

– Jesteś sukinsynem, ale się ciebie nie boję – odpowiedziałem nie ruszając się z krzesła. Ten facet działał mi na nerwy. – Co cię łączyło z Llopis?

Maciá roześmiał się.

– Te twoje pytania to jakieś urojenia.

– Zabijeś ją? – zapytałem. Zachował kamienną twarz, co zbiło mnie z tropu. Zamilkł i zastanowił się nad odpowiedzią.

– Sam musisz pokombinować, Gabriel – odpowiedział rozkładając ręce. – Jestem ciekaw do czego dojdiesz.

– Twoja firma, ta firma... Wiem, że miałeś interes w tym, żeby wygrała Llopis. Byłeś w to bardziej zaangażowany, niż w romans, który zapewne mieliście.

– Skąd masz takie informacje? – spytał zaintrygowany Maciá.

– Dobry dziennikarz nie ujawnia swoich źródeł – powiedziałem.

– Ty nie jesteś dobrym dziennikarzem, Gabriel.

– Ty robisz swoją robotę – odpowiedziałem – a ja swoją.

Powolnym ruchem podniósł słuchawkę telefonu stojącego na szklanym biurku i wybrał numer recepcji.

– Luna, możesz iść do domu... – powiedział do aparatu. – Tak, tak, porozmawiamy później... Ależ tak, nie przejmuj się... Poradzę sobie z panem Caballero.

Odłożył słuchawkę.

– Piękne imię, Luna – skomentowałem. – Nie spodobała się jej wiadomość o tobie i Llopis.

Maciá uśmiechnął się.

– Trzymaj się od niej z daleka, Gabriel – powiedział i wstał. Wsunął rękę do kieszeni spodni i wyjął pęk kluczy. – Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Maciá wyszedł z pokoju i ruszył w kierunku schodów.

– Na co czekasz, do licha, Gabriel?

Ruszyłem za Maciá. Od tyłu był całkowicie bezbronny. Mineliśmy hol, którym wszedłem i zeszliśmy do piwnicy. W połowie drogi Macia zatrzymał się przy jednych drzwiach. Wstukał kod i przeciągnął kartę przez czytnik. Usłyszałem sygnał dźwiękowy i zapaliła się zielona dioda. Otworzył drzwi i

weszliśmy do ciemnego pomieszczenia.

Oświetlenie włączyło się samoczynnie. Białe i długie jarzeniówki oświetlały cały poziom. W pomieszczeniu stało pełno maszyn, komputerów i taśm produkcyjnych.

– Tutaj wytwarzamy prototypy – powiedział zapraszając do środka. – To tylko namiastka tego, czym może być prawdziwa produkcja..

– Szukasz finansowania – odpowiedziałem.

– Tak jest, Gabriel – odpowiedział. – Trafiłeś w samo sedno.

Echo odgłosu butów stukających o marmur sprawiło, że pomieszczenie wydawało jeszcze bardziej ponure. Słowa Macii odbijały się w odległych ścianach ogromnej sali.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś? – spytałem.

Biznesmen ruszył w głąb pomieszczenia i stanął obok metalowego pręta opartego o ścianę. Szybko sprawdziłem telefon. Na szczęście miałem zasięg, ale tylko jedną kreskę baterii. Myślałem, że chce tylko zrobić na mnie wrażenie, ale nie miałem co do tego pewności.

– Chcę, żebyś zobaczył, że jestem normalnym facetem, żebyś wiedział, czym się zajmuję..

– Wiem, jakim typem człowieka jesteś, Maciá.

Chwycił metalowy pręt i zaczął się nim bawić. Pręt był wielkości kija bejsbolowego. Jeden cios i byłoby po mnie. Wiedziałem, że Maciá ma problemy z agresją. Dlatego też byłem czujny i trzymałem dystans. W starciu z nim nie miałem żadnej szansy.

Maciá, z uśmiechem na twarzy, zbliżał się do mnie małymi krokami. Delektował się moim zakłopotaniem.

– Mam jedno pytanie... – powiedział. – Przypuśćmy, że to ja zabiłem Monikę – to jak myślisz, z jakiego powodu miałbym to zrobić?

– Zazdrość, pieniądze... – powiedziałem trzymając się blisko drzwi. Wiedziałem, niestety, że jest to jedno z tych wejść, gdzie trzeba użyć identyfikatora – zarówno żeby wejść, jak i wyjść – a miał go w kieszeni Maciá. Bez tego kawałka plastiku miałem odciętą drogę ewakuacji. – Wiem o twoich wybuchach zazdrości.

– Nie... Właściwie to nie wiesz nic, Gabriel.

Z każdym słowem zbliżał się do mnie.

Rozejrzałem się za czymś, co mogłoby mi posłużyć do obrony, ale niczego w zasięgu wzroku nie znalazłem. Wsunąłem rękę do kieszeni i zacisnąłem dłoń na kluczach. Celne uderzenie ocaliłoby mi życie, ale

miałem tylko jedną szansę.

– Policja dojdzie do wszystkiego, Macią – powiedziałem. Staralem się panować nad drżeniem głosu i nie zdradzić strachu. Poczulem silny ból żołądka. – Jak tylko zakończą śledztwo w sprawie Botelli, wszystko wyjdzie na jaw. Więc nie rób głupstw.

– Gdybym chciał, to pozbyłbym się ciebie bez żadnego problemu, Gabriel – powiedział stojąc kilka metrów ode mnie. – Ani policja, ani twój koleżka inspektor, nigdy by ciebie nie znaleźli.

– Musi być jakiś sposób, aby to załatwić polubownie... – odpowiedziałem i wzmocniłem czujność, widząc jak zaciska dłoń na metalowym pręcie – albo siłowo.

Macia był szybszy. Już miałem uderzyć go w grdykę, gdy ten zablokował moje ramię lewą ręką i przycisnął do drzwi metalowym prętem.

– Załatwimy to polubownie, Gabriel – wyszeptał chuchając mi w twarz. – Nie chciałbyś poznać innego rozwiązania.

Przeciagnał kartę przez czytnik i rozbroił zamek w drzwiach. Macia cofnął się kilka kroków. Klucze wypadły mi z ręki.

Mężczyzna wybuchnął diabolicznym, złowieszczym śmiechem.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem bez słowa.

Kolejny raz udało mu się mnie nastraszyć. W żadnym razie nie należało odrzucać możliwości, że to on pozbawił Llopis życia.

Wsiadłem do samochodu i odjechałem wściekły.

W radio Led Zeppelin śpiewali Good Times Bad Times.

Hidalgo miał rację. Macią był prawdziwym draniem.

Cień padł na moje przypuszczenia. Mogła to zrobić nawet jego sekretarka.

Wyjąłem telefon i wybrałem numer inspektora. Po czterech sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– No, odbieraj, inspektorze – wyszeptałem jedną ręką trzymając kierownicę a drugą telefon.

Bez skutku. Inspektor Botella był pewnie zajęty albo wyprowadzką ze swojego biura, albo kłótnią z żoną. Zrozumiałem, że nie chce widzieć nikogo.

Wszyscy wydawali mi się podejrzanymi. Potrzebowałem pomocy profesjonalisty.

Jak odnaleźć inspektora?

Nagle dotarło do mnie, że jest osoba, która mogłaby pomóc mi

odszukać Botellę. To Ortiz.

Wizyta u Macii wyczerpała mnie. Wróciłem do miasta. Zaparkowałem na jednej z ulic w sąsiedztwie targu i wszedłem do baru Guillermo, typowego i tradycyjnego lokalu prowadzonego przez tutejszą rodzinę. Podświetlany szyld z bykiem zapraszał klientów. Wiejski wystrój wnętrza nie zmienił się od lat, a bar Guillermo dla wielu osób stał się drugim domem. Przychodzili tu dziennikarze na szklaneczkę piwa i kawałek tortilli. Spotykali się tutaj reporterzy pracujący przy ulicy Calderón de la Barca, aby sprawdzić źródła, pogłoski, i uporządkować wiadomości, które miały wkrótce być opublikowane. Przez bar przewinęło się również wiele krajowych zespołów muzycznych, zanim osiągnęły sukces medialny i trafiły do takich klubów jak Stereo – znajdujący się sto metrów dalej. Tego dnia w lokalu było pusto. Czekala na mnie jedynie kolekcja butelek za ladą, mocno schłodzony wermut i porcja oliwek z pestką. Poprosiłem kelnera o sałatkę warzywną i kartkę papieru do pisania. Głowę miałem pełną pomysłów. Jedno było pewne, musiałem wymyślić dobry powód, aby Ortiz mnie nie zwolnił.

Jeśli pomoże mi znaleźć miejsce pobytu Botelli, dam mu wyłączność i przekonam Hidalga, aby zatrudnił go jako wykładowcę na wydziale dziennikarstwa. Wiadomo jak to działa. Przyjaciele dogadują się, zmieniają program, a potem funkcjonują słynne zajęcia fakultatywne, które do niczego nie prowadzą. Brakowało mi palców u rąk, aby zliczyć wszystkich ignorantów, których musiałem wysłuchiwać w czasach studenckich – ale to historia inna historia.

Wyjąłem z kieszeni telefon i wybrałem numer Hidalga. Kończyła mi się bateria.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś do mnie nie dzwonił? – powiedział i rozłączył się. Nadal był na mnie obrażony.

Zwróciłem się grzecznie do kelnera z pytaniem, czy mógłby mi użyczyć telefonu do miejscowej rozmowy. Wysoki i szczupły mężczyzna w białej koszuli popatrzył na mnie zdziwiony, ale w końcu się zgodził.

– Tak? – powiedział Hidalgo na drugim końcu linii.

– Hidalgo, nie rozłączaj się, proszę – powiedziałem błagalnie. – Przysięgam, że to ważna sprawa.

– Kurwa, Gabriel! Czego do cholery chcesz?

– Muszę z tobą porozmawiać – odpowiedziałem. – Badalem sprawę...

– Słuchaj, stary, nie chcę o tym więcej rozmawiać.

– Poczekaj! – krzyknąłem. – Nie odkładaj słuchawki. Daj mi minutę, Hidalgo...

Usłyszałem westchnięcie.

– Jedna minuta.

– Tak, minuta – odpowiedziałem. – Nie myliłeś się co do tego Macii. To sukinsyn i bandzior. Złożyłem mu wizytę.

Hidalgo chyba zmienił zdanie, co do czasu trwania naszej rozmowy.

– Co mówił?

– To nie takie ważne. Ten frajer próbował mnie zastraszyć.

– Chcę, żebyś mi powtórzył, co powiedział.

– Nie wiem, czy przez telefon to dobry pomysł – powiedziałem spoglądając na kelnera, który chciał, żebym skończył rozmowę i pokazywał mi zegarek. – Jestem w Guillermo. Gdzie możemy się spotkać?

– Gabriel, nie mogą nas zobaczyć razem – powiedział stroskany. – Lepiej będzie dla nas obu, jeżeli nie będziemy się widywać przez jakiś czas.

– To, co odkryłem, dotyczy również ciebie, Antonio....

– Halo! Potrzebujemy telefon do rozmów z klientami, proszę... – powiedział uciążliwy kelner.

– Dzwonisz do mnie z barowego telefonu? – spytał z niedowierzaniem Hidalgo. – Masz tupet.

Gdy mówił, przyglądałem się czarno-białemu obrazowi za barem, przedstawiającemu historyczną panoramę Alicante.

– Czekam na ciebie na tarasie zamku Santa Bárbara.

– Za godzinę – odpowiedział Hidalgo. – Tylko bez niespodzianek.

Antonio rozłączył się. Kelner spojrział na mnie podenerwowany, bo nadużyłem jego zaufania.

– To był ważny telefon – powiedziałem. – Dziękuję.

– Tutaj ważne są tylko telefony od rezerwujących stolik – odpowiedział.

Wyszedłem z lokalu, założyłem okulary przeciwsłoneczne i ruszyłem prosto do zamku. Na górę można było dostać się jedynie piechotą, schodami otaczającymi fortecę.

Jakiś czas później, zmęczony i bez tchu, minąłem grupkę niemieckich turystów z przewodnikiem i dotarłem na szczyt wzgórza Monte Benacantil, gdzie znajdował się zamek. Zapomniałem o wysiłku, gdy tylko ujrzałem panoramę miasta – port morski oświetlony kolorowymi lampami, plażę Postiguet i stłoczone dzielnice mieszkaniowe, a całość skąpana w promieniach wolno zachodzącego słońca.

Przeszedłem się po okolicy i zatrzymałem przed jednym z dział w bluku muru. Oparłem nogę na kamieniu i wciągnąłem głęboko zapach saletry oraz wilgoci zbliżającego się śródziemnomorskiego lata.

Wyczulem czyjaś obecność.

– Nigdy nie znudzi mi się wspinanie się tutaj – powiedział głos, przy akompaniamencie szurania podeszwy butów. To był Hidalgo. Podeszedł i stanął koło mnie. Wydawał się zmęczony. – Lepiej, żebyś zaczął mówić, mamy mało czasu.

– Właśnie dowiedziałem się o twojej kandydaturze – powiedziałem. – Tym razem na pewno wygrasz.

– To po to mnie tu ściągnąłeś? – zapytał się obrażony.

– Ukrywałeś przede mną informacje, Antonio – odpowiedziałem. – Dlaczego?

– Czego się spodziewałeś? Gdybym powiedział ci, że kandyduję... – odpowiedział. – Poza tym, cwaniaku, wpakowałeś mnie w niezłe kłopoty.

– Nie chodzi mi o wybory – powiedziałem i obróciłem głowę w jego stronę. – Chodzi o twój związek z Moniką Llopis.

– A, o to ci chodzi... Teraz muszę cię informować również o moich znajomościach. Nie wkurzaj mnie, Gabriel. Jakbyś był moją matką...

– Na ciele dziewczyny znaleziono dwa ślady DNA – wyjaśniłem. – Mam wrażenie, że jeden z nich należy do ciebie.

Zmarszczył czoło.

– Tak było w raporcie?

– Nie, jeszcze nie miałem wglądu w raport – odpowiedziałem. – Tylko inspektor Botella może podać mi tożsamość, ale daj spokój... W co ty pogrywasz? Byłeś z nią!

Hidalgo przeczesał ręką włosy do tyłu. Był wytrącony z równowagi.

– Ta informacja nie może wyjść na jaw, Gabriel! – wykrzyknął grożąc mi palcem. – Gównu! Moja żona zatłucze mnie jak psa... Za ten rozwód płacę zdrowiem, to znaczy...

Hidalgo i jego żona od pewnego czasu żyli w separacji.

– Spokojnie – powiedziałem i oparłem rękę na jego ramieniu. Potem wyjąłem papierosa ze zmiętej paczki i zapaliłem. – Nie po to spotkałem się tobą, aby ci komplikować życie. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, tak?

– Tego się spodziewam...

– Zabilesz ją, Hidalgo? – zapytałem, patrząc mu prosto w oczy.

Hidalgo miał okulary przeciwsłoneczne – zupełnie niepotrzebne przy zachodzie słońca. Zamilkł i zawahał się z odpowiedzią:

– Gabriel, za kogo ty mnie masz? – powiedział opanowanym głosem. Nie spodziewałem się takiej zmiany tonu. – Nikogo nie tknąłbym nawet palcem... Zaskoczyło mnie twoje pytanie.

– Monika nie umarła na zawał serca – wyjaśniłem. Był moim przyjacielem, musiał mi wierzyć. – Ktoś ją świadomie otrul.

– Tak, czytałem o tym w prasie... – odpowiedział. – Dobrze, wygrałeś... Coś było między mną a Moniką... Nie nazwałbym tego romanssem, bo nie byliśmy zakochani. Po prostu ona wskrzesiła pewną część mojego życia, która umarła lata temu – chodzi o małżeństwo. Ta świeżość młodości, idea przelotnego związku... Przypuszczam, że ona czuła podobnie. Pochodziła z konserwatywnej rodziny, gdzie kobieta odgrywała drugoplanową rolę. Taka presja gdzieś w końcu musi znaleźć ujście... W jej przypadku: w łóżku. Obiecałem, że zachowam dyskrecję.

– Uszanujmy wolę zmarłej – odpowiedziałem. Wyjąłem telefon, aby sprawdzić, czy dzwonił do mnie Botella, ale ekran telefonu był czarny. Wyczerpała się bateria. – Cholera.

– Powinieneś złapać trochę oddechu, Gabriel – powiedział ojcowskim tonem. – Jak idą sprawy z Patrycją? Coś się poprawiło?

– Nie – odpowiedziałem. – Szczerze mówiąc, nie mogło być gorzej... Ale nie mogę zostawić śledztwa.

– Jesteś dziennikarzem, a nie policjantem.

– Muszę pisać prawdę, Hidalgo.

– Kogo podejrzewasz?

– Tak naprawdę, to wszystkich – powiedziałem – ale mam wrażenie, że wszystko czego się dotknę, rozpada się na kawałki.

– Odpuść sobie – nalegał. – Jak będziesz dalej wciskał nos w nie swoje

sprawy, to wcześniej, czy później naślą na ciebie policję... Już posunąłeś się za daleko – nie bierz tego wszystkiego tak do siebie.

– Potrzebuję przysługi, Hidalgo.

– Mów.

– Musisz wykonać telefon do mojego szefa i coś mu obiecać.

– Czyli?

Następnego dnia wróciłem do redakcji. Spodziewałem się, że Ortiz mnie wyrzuci. Nie udało mi się uruchomić telefonu. Patrycja zabrała swoją ładowarkę, zaś moja była w redakcji dziennika. Modliłem się, aby Ortiz był w dobrym humorze, a Hidalgo wykonał swoje zadanie.

Kiedy wszedłem do redakcji, za moim biurkiem zobaczyłem dziewczynę porządkującą notatki. Ignorując ten fakt, podszedłem do jednego z praktykantów by zapytać, czy jest Ortiz, po czym udałem się do jego gabinetu.

– Czy można? – zapytałem, otwierając drzwi.

– Dzień dobry, Caballero – odpowiedział. – Przykro mi, że dowiadujesz się o tym od konkurencji.

Ortiz położył na biurku egzemplarz Información. Na pierwszej stronie rzucił się w oczy krzykliwy nagłówek.

Sprawa rektora. Inspektor policji znaleziony martwy w swoim domu.

Przeczytałem pozostałą część wiadomości.

Minionej nocy znaleziono w domu zwłoki inspektora Botelli. Tlenek węgla z łazienkowego piecyka przedostał się do płuc policjanta, uspił go i sparaliżował mięśnie. Przyczyną śmierci mężczyzny było długotrwałe działanie trującego gazu. Czad nazywany jest słodką śmiercią lub cichym zabójcą, ponieważ jest bezwonny, bezbarwny i bez smaku. Inspektor nie mógł zorientować się, że ulega zatruciu. Znajomy ofiary i paru sąsiadów zawiadomiło służby medyczne kilka godzin po zejściu. Niestety pan Botella nie dawał już oznak życia.

– Mój Boże... – powiedziałem oszołomiony. Polubiłem inspektora, poza tym sprawa wyglądała coraz gorzej. Śledztwo wymykało się spod kontroli. – To nie był przypadek, Ortiz.

Szef schował gazetę i poprosił, abym usiadł.

– Wczoraj zadzwonił do mnie twój przyjaciel Hidalgo – powiedział, odchylając się do tyłu na obrotowym fotelu. – Jestem ci za to wdzięczny. Pierwszy raz od kilku miesięcy przespalem ciurkiem kilka godzin.

– Przyszłość tej redakcji jest o wiele bardziej mętna niż morderstwo Llopis.

– Tak właśnie jest, Caballero – odpowiedział. – Popatrz na nas. Tylko my dwaj jesteśmy na etacie, a mimo to zarabiamy grosze.

– Nie wspominając już o stażystach.

– Oni są trybikami w maszynie, która nigdy nie staje – powiedział i wziął oddech. Otworzył szufladę biurka, odsunął klawiaturę na bok, wyjął dwa niskie kieliszki i butelkę brandy Fundador. Następnie napelnił kieliszki. – Za inspektora.

– Za Botellę – odpowiedziałem. – Zdrowie.

Łyk brandy podziałał na mnie zbawiennie. Tak samo potrzebował go Ortiz.

– Co cię sprowadza, Caballero? – zapytał z kieliszkiem w ręce. – Znamy się dobrze, więc oszczędź mi wymówek.

– Przyszedłem przeprosić za to, co zrobiłem, szefie.... – odpowiedziałem. Wymagała tego chwila. – I zabrać swoje rzeczy.

Ortiz roześmiał się.

– Nie umiesz kłamać, Caballero – odpowiedział. – Przeprosiny przyjęte, ale żebyś miał zaraz odchodzić... Daj spokój, chłopie.

– W porządku, wygrałeś... Muszę wrócić do gazety.

– Załatwione – odpowiedział z uśmiechem na twarzy. – Możesz zacząć od tej dziewczyny, która zajęła twoje stanowisko. Potrzebuje szkolenia z obsługi urządzeń biurowych.

– Chodziło mi o pisanie – nalegałem. – Muszę doprowadzić do końca tę sprawę.

– Niewiele już mnie to obchodzi, Caballero – odpowiedział napelniając oba kieliszki. – Redakcja jest w stanie śpiączki, agonii... Jedyne co mi pozostaje, to wierzyć twojemu koleźce.

– Czy to oznacza zgodę?

– Ale nie prosź nikogo o przysługi – odpowiedział. – Ani nie opowiadaj kłamstw, Gabriel. Tym razem nie mogę ci pomóc. Statek tonie i mamy wystarczająco dużo problemów.

– Zaufaj mi. Odbijemy się od dna.

Byłem z siebie zadowolony, ale jednocześnie przygnębiony wiadomością o inspektorze. Nie miało większego sensu prosić Ortiza, aby zdobył adres Botelli. Chyba nie znajdę tego, czego szukałem. Opuściłem gabinet i podszedłem do dziewczyny przy moim biurku. Była bardzo ładna i bardzo

młoda – miała co najwyżej dwadzieścia lat. Z taką urodą – kosmykami blond włosów i zielonymi oczami – szybko zrobiłaby karierę w krajowej telewizji. Szczerze żalowałem, że byłem zajęty innymi obowiązkami. Podłączyłem ładowarkę do telefonu. Na ekranie pojawiło się powiadomienie o nieodebranych połączeniach oraz tajemniczy sms z numeru telefonu Botelli. Nikt nie jest gotów na czytanie pośmiertnych słów bliskiej osoby.

Dałem sobie kilka sekund na ochłonięcie, po czym otworzyłem wiadomość. Była podzielona na dwie części.

MACIA MA ANALI –

Czekałem na drugą część smsa, ale nie przyszła.

Nie byłem w stanie domyślić się dalszego ciągu wiadomości. Macią? Analizy? Botella coś odkrył i dlatego napisał do mnie. Ale... co? Jeśli Macią był w posiadaniu czegoś, o czym nie wiedziałem, to nadszedł moment, aby podzielił się ze mną tą tajemnicą.

Zacząłem odczuwać mdłości i bóle mięśni. Żyłem ostatnio cały czas w napięciu. To była cena zawodu dziennikarza – cena za poznanie prawdy. Nie wspominam już o wątpliwościach, które nieustannie nam towarzyszyły. A i tak czytelnicy dowiadawali się tyle, ile wysokie sfery kontrolujące prasę pozwalały nam opublikować.

Dziewczyna porządkowała jakieś kartki. Zszywała je przed włożeniem do plastikowej koszulki. Obok biurowych materiałów zobaczyłem nóż do papieru. Chwyciłem go i wrzuciłem ukradkiem do torby.

Nie wiedziałem, czy będzie mi dane wrócić do redakcji. Po tym wszystkim nie wiedziałem, co się wydarzy, gdy przekroczę ponownie próg biurowca Fharma. Istniał tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć.

15

Wsiadłem do czerwonego Seata Ibizy i przy dźwiękach Money Pink Floyd wystrzeliłem, jak pocisk z rewolweru, w kierunku siedziby Pharma.

W ciągu dwudziestu minut dotarłem pod drzwi firmy. Zahamowałem z piskiem opon przed barem. Zaparkowałem samochód, wysiadłem i wpadłem na recepcję jak tornado.

– Cześć, piękna – powiedziałem do Luny, zanim zdążyła otworzyć usta.
– Chcę rozmawiać z twoim szefem.

Ruszyłem po schodach na górę. Dziewczyna natychmiast chwyciła za słuchawkę telefonu. Tego dnia budynek tętnił życiem. Szklane pomieszczenia pełne były młodych ludzi w koszulach. Maciá siedział w głębi swojego gabinetu i rozmawiał z panną o nienagannej figurze. Wykonałem kilka długich kroków i wszedłem do pomieszczenia.

– To ty? Kto cię wpuścił? – powiedział zaskoczony. Kobieta odwróciła się w moją stronę.

– Lepiej porozmawiajmy szczerze, Maciá – odpowiedziałem.

Zaskoczyła go moja pewność siebie. Skinieniem dłoni polecił dziewczynie, aby opuściła pokój. Gdy tylko wyszła, zatrzęsnałem za nią drzwi.

– Co tu robisz, Caballero? – zapytał rozdrażniony moją obecnością. – Czy ostatnim razem nie wyjaśniliśmy sobie wszystkiego?

– Tej nocy znaleziono martwego inspektora Botellę w swoim domu – odpowiedziałem. – Co za zbieg okoliczności... Wszystko posprzątałeś, ale zapomniałeś o mnie.

Maciá wyglądał na zdezorientowanego.

– Co ty, kurwa, bredzisz imbecylnie? – krzyknął rozwścieczony. – Nikogo

nie zabiłem. Rozumiesz?!

Wyjąłem nóż z kieszeni i wycelowałem w jego twarz.

– Botella wysłał mi smsa – wyjaśniłem. – Niestety nie wiem, co chciał mi opowiedzieć, bo nie dokończył wiadomości... Ale ty mi to powiesz. Jakie analizy ukrywasz, Maciá?

– Analizy? – powiedział. – Lepiej opuść nóż. Nie chcesz przecież zrobić jakiejś głupoty.

– Botella wiedział, że jesteś w posiadaniu analiz – blefowałem. Nie miałem pojęcia, o jakich analizach mówiłem. – To wiąże cię z Llopis. Mów!

– Ej! Poczekaj! – wykrzyknął i rozłożył ręce. – Nie zabiłem Moniki. Tylko dobrze się bawiliśmy, ale to już wiesz. Dawałem jej coś, czego twój kolega dziennikarz nie mógł jej dać, a ona opowiadała mi, jak jej idzie w laboratoriach wydziału.

– O czym mówisz?

– Sponsorowałem kampanię Moniki w zamian, jak wiesz, za współpracę z wydziałem biologii uniwersytetu. To wszystko. Gdyby Monika została rektor, przejąłbym kontrolę nad laboratoriami i zająłbym się dystrybucją leków.

– I co się stało? – zapytałem.

– Co się stało? – wykrzyknął. – Co za głupie pytanie? Monika nie żyje!

– Została otruta arsenikiem – odpowiedziałem. – Substancją, którą stosujesz w swoich lekach.

Każde kolejne zdanie pogrążało Maciá.

– Posłuchaj mnie – powiedział. Czoło miał spocone. – Jestem żonatym facetem. Znajomość z Moniką nie była niczym poważnym, a i ona nie zamierzała nikomu się z niej zwierzać. Byliśmy w dobrych stosunkach i wiedziałem, że ukrywa się przed Hidalgiem. Ja jej nie zabiłem, przysięgam ci.

– Tak możesz zeznawać w sądzie – powiedziałem. – A to przedstawienie na ulicy? Zaatakowałeś faceta, który był świadkiem waszej kłótni.

– Do diabła z tym... – powiedział skonsternowany. – Monika prosiła, żebym zostawił go w spokoju, ale... co byś zrobił, gdyby jakiś kretyn nazwał kurwą twoją dziewczynę? Błagam, Caballero, myślałem, że jesteś mężczyzną z zasadami.

– Jestem nim zawsze, o ile ktoś nie próbuje rozjechać mnie samochodem – odpowiedziałem. Maciá skurczył się jak przebity balon. To jeszcze nie wystarczyło, by uznać go za mordercę. – Opowiedz mi o

analizach.

– Analizy, analizy... – odpowiedział niechętnie. – Do licha! Doprowadzasz mnie do szału! Nie wiem, o czym mówisz.

– Więc powtórzę. Inspektor Botella przed śmiercią napisał do mnie wiadomość. Dowiedział się czegoś o analizach, które posiadasz.

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz – odpowiedział. – Są pewne analizy, o których wiem, oprócz analiz śladów, które znaleziono na jej ciele, ale niewiele mają z tym wspólnego.

– Opowiedz mi o nich – naciskałem i dla większego efektu zbliżyłem nóż.

– Opuść to, i to już! – rozkazał, wiedząc, że go nie zaatakuję. – Laboratoria opracowały terapię, która była skuteczniejsza od naszej. To mogło pokrzyżować moje inwestorskie plany. Jeśli uniwersytet dostałby zielone światło, to nikt inny nie dorwałby się do patentu. Wiesz, co by to oznaczało? Stratę ogromnych pieniędzy... Poprosiłem Monikę, aby się tym zajęła, coś zrobiła, ale ona powiedziała mi, że analizy dały negatywne wyniki i nie ma się czym przejmować.

Słowa Macii dudniły w mojej głowie jak noworoczny kac.

– To niemożliwe – powiedziałem.

– Po raz kolejny mówię ci, że tak jest. Tak mi powiedziała – upierał się. Moja teoria ponownie spaliła na panewce. Kiedy to się skończy?

– Muszę iść – powiedziałem i schowałem nóż. Wyszedłem zamyślony.

– Gabriel! Posłuchaj! – wykrzyknął.

Gdy szedłem korytarzem, czułem na sobie wzrok sparaliżowanych pracowników, zaskoczonych naszym niecodziennym spektaklem.

Kręcę się w koło.

Powoli traciłem cierpliwość.

16

Zirytowany rozwojem sytuacji, udałem się pełen nadziei w kierunku budynku Wydziału Nauk uniwersytetu. W dniach poprzedzających sesję egzaminacyjną kręcili się tam jedynie leniwi i beztroscy studenci, którzy popijali piwo lub palili trawkę.

Wszedłem głównym wejściem. Rozejrzałem się za portierem, z którym przypadkowo spotkałem się poprzednim razem. Chciałem dowiedzieć się, gdzie jest pan Casavieja.

Nie zastałem go. Postanowiłem więc wziąć się do pracy, by dowiedzieć się czegoś więcej o doktorze. Idąc korytarzem, zauważyłem otwarte drzwi do jednego z laboratoriów. W środku grupa trzech chłopców i dwóch dziewczyn czyściła próbówki.

– Szukasz kogoś? – zapytała ubrana w biały fartuch brunetka o mięsistych wargach.

– Zgubiłem się – odpowiedziałem z uśmiechem – chociaż to nie jest takie istotne...

Chłopiec w plastikowych okularach podszedł do mnie.

– Nie może pan tu przebywać – powiedział. – Możemy mieć przez to problemy.

– Tak naprawdę, to szukam doktora Casaviejy – rzuciłem władczo. – Jesteśmy przyjaciółmi. A wy pewnie jego studentami?

– Nie – odpowiedziała dziewczyna. Chłopak popatrzył na nią jak na zdrajczynię. – Pracujemy tutaj, w laboratorium.

– Stypendyści – odpowiedziałem. Wszedłem do laboratorium i zamknąłem za sobą drzwi. – Jak tu trafiliście?

Oboje popatrzyli na siebie. Pozostali dalej czyścili aparaturę.

– Co pana to obchodzi? – zapytała dziewczyna.

– Posłuchaj, panienko – odpowiedziałem, sprowadzając ją do pionu. – Prowadzimy śledztwo. Lepiej współpracujcie, jeżeli nie chcecie stracić praktyk.

– Wysługują się nami – powiedziała dziewczyna, nie ukrywając zainteresowania moją osobą. Chłopak ponownie rzucił jej pogardliwe spojrzenie. – To prawda, nie patrz tak na mnie... Ci z GIPE wykorzystują nas do woli, zmieniamy się tutaj częściej niż szczury w laboratorium.

– GIPE? – zapytałem się.

– Biuro, które szuka nam pracy i praktyk – dodał chłopak.

– Więc dlaczego wciąż tu jesteście? – zapytałem.

Dziewczyna przypominała mi Patrycję – kobietę, która spuściła naszą miłość w muszli klozetowej.

– Obiecują nam, że potem nas gdzieś wkręcą. Kontakty... tak mówią. – odpowiedział chłopak.

– Tak naprawdę – powiedziała dziewczyna – laboratorium to przykrywka. Służy wyłącznie do pozyskiwania środków na badania dla profesorów nieudaczników i na rozwijanie śmieciowych projektów sfrustrowanych doktorów.

– A ty jak masz na imię?

– Leonor – odpowiedziała zadowolona. Najwyraźniej myślała, że już jej o to nie zapytam.

– Powiedz mi, Leonor.... Nad jakimi projektami ostatnio pracowaliście?

– Nie możemy o tym z tobą rozmawiać – wtrącił się chłopak. Nie podobało mu się, że dziewczyna chciała zdobyć moją sympatię. – To są poufne informacje.

– Nikt cię nie pyta o zdanie, chłopcze – odpowiedziałem. – Lepiej zajmij się myciem swoich menzurek.

Dziewczyna roześmiała się. Nasze spojrzenia spotkały się, a ona oblała się rumieńcem. Młody naukowiec odszedł poirytowany, całkowicie bezsilny – nie odważył się na rewanż. Dostał po nosie. Pewnie nie byłem pierwszą osobą, która dała lekcję temu dwudziestolatkowi. Na jego miejscu uderzyłbym pierwszy.

– Pracowaliśmy nad lekiem, który hamuje rozwój komórek rakowych i eliminuje je – wyjaśniła wpatrzona we mnie dziewczyna. – Po raz pierwszy wciągnął nas jakiś projekt. Ostatnie próby dały pozytywne wyniki i byliśmy blisko otrzymania zielonego światła z ministerstwa na dalsze prace.

– Kto kieruje projektem? – zapytałem, choć znałem odpowiedź. – Niech zgadnę... Doktor Casavieja, prawda?

– Tak jest. To poczciwy człowiek. Wspierał nas cały czas.

– Jeszcze jedno, Leonor – powiedziałem i zbliżyłem się do niej o kilka centymetrów. Dziewczyna nie spieszyła się – przeciwnie. Czulem, że między nami rośnie seksualne napięcie. Musiałem się jej podobać. – Co wiesz o arszeniku?

– To trucizna.

Wtedy otworzyły się drzwi i usłyszałem czyjeś kroki.

– Pan Caballero? – zapytał głos w oddali. Rozpoznałem go. To był doktor Casavieja.

– Leonor, powinienem iść – szepnąłem, wyciągnąłem z kieszeni wizytówkę, i dałem dziewczynie. – Zadzwoń do mnie, chciałbym cię znowu spotkać i porozmawiać... na inne tematy.

Dziewczyna roześmiała się.

– Zobaczymy...

Odwróciłem się i zobaczyłem w drzwiach laboratorium Casavieję w białym fartuchu.

– Doktorze, szukałem pana...

– Zapraszam do innego, bardziej intymnego miejsca, Caballero – odpowiedział nie ruszając się z miejsca. – Przejdziemy do mojego gabinetu?

Poszedłem za Casavieją aż na najwyższe piętro budynku. Szliśmy korytarzem, przy którym znajdowały się biura wszystkich wykładowców uniwersytetu. Doktor zwalniał co chwilę i przez świetlik sprawdzał czy ktoś jest w środku. Ku mojemu zaskoczeniu, zatrzymał się przed drzwiami gabinetu, który zajmowała Monika Llopis, włożył klucz do zamka i otworzył. Wszedł do środka.

Dawny przybytek zmarłej rektor stał się nowym gabinetem Casavieji. Nie mogłem dać temu wiary. To potwierdzałoby wszystkie moje teorie.

Bez słowa wszedłem do pokoju. Poczulem silny podmuch ciepłego powietrza, dochodzący z jednego z przewodów wentylacyjnych. Okna były zamknięte, a klimatyzacja wyłączona. Casavieja miał spoconą i błyszczącą twarz. Nie odezwał się ani słowem, tylko usiadł w obrotowym fotelu za biurkiem. Rozejrzałem się dyskretnie – rozkład mebli nie zmienił się. Wszystko znajdowało się na swoim dawnym miejscu. Casavieja nie miał czasu, aby zadomowić się w gabinecie.

– Proszę usiąść – rozkazał. – Wygląda pan na zmęczonego, może trochę wody?

– Tak, poproszę – odpowiedziałem. Dziwny dreszcz przeszedł mi po plecach. Coś było nie tak z tym miejscem. – Jest bardzo gorąco, mógłby pan otworzyć okno?

Doktor spojrział na mnie zdziwiony, ale nie protestował. Podał mi szklankę wody z dystrybutora i otworzył okno. Świeże powietrze z zewnątrz oczyściło zatęchłą atmosferę pokoju.

– Więc? – zapytał Casavieja. – O czym pan chciał ze mną porozmawiać?... Wątpię, by przyjechał pan, aby flirtować z moimi

studentkami.

Plastikowa szklanka z wodą stała na biurku. Casavieja przyglądał się jej uważnie, jakby był nią szczególnie zainteresowany. To zachowanie wzbudziło moją czujność. Zaszło mi w ustach i byłem zmęczony długim tygodniem, ale coś w środku ostrzegało mnie, żeby nie próbować podanej wody.

– Botella powiedział mi prawdę o analizach – powiedziałem rozgorączkowany.

– Czy pan się dobrze czuje, Caballero? – odpowiedział. – Niech się pan nie wygłupia i napije wody.

– Nie, dziękuję.

Doktor roześmiał się.

Wziął szklankę i wypił jednym haustem.

– Widzi pan? – zapytał. – Czy teraz mi pan ufa?

Nalał kolejną szklankę i postawił przede mną.

– Sam pan powiedział, że Llopis została otruta arszenikiem – odpowiedziałem. – Arszenik to trucizna dająca wiele możliwości. Można ją również dawkować i stopniowo doprowadzić nieświadomą ofiarę to całkowitego zatrucia.

– Zgadza się. Odrobił pan lekcje – powiedział wyciągnięty w fotelu. – Co to ma wspólnego z wodą?

– To jest gabinet Llopis, do którego miał pan dostęp ostatnio – wyjaśniłem. – Dlatego przypuszczam, że miał go pan również przed jej śmiercią. Wszyscy tutaj szanują pana.

– O rany, pana oskarżenia idą naprawdę w ciekawym kierunku.

– Czy dystrybutor wody to nie idealne rozwiązanie, aby otruć ją powolnie? Nigdy by się nie zorientowała – arszenik ma smaku i jest bezbarwny. Wystarczyło rozpuścić go w pięciu litrach wody, aby przyjmowała go powolnie, aż do całkowitego zatrucia.

– To bardzo wnikliwe spostrzeżenie, Caballero – powiedział uśmiechnięty. Był spokojny, jakby się tego spodziewał. – Ale jak się pan zapewne domyśla, nie mogłem pozwolić, aby policja znalazła ślady arszeniku w pojemniku z wodą. To ułatwiłoby jej zadanie.

– A więc to pan ją otrul – powiedziałem wyczerpany. – To pan się jej pozbył.

– Proszę napić się wody, to obniży panu ciśnienie – odpowiedział. Podniosłem szklankę do ust. Woda przyniosła mi ulgę. Nie miałem innego

wyjścia. Tak czy inaczej, wpadłem w jego sidła. – Dziękuję...

– Widzi pan, Caballero – wiem, że to co teraz panu opowiem nie będzie łatwe do przyjęcia. Nie oczekuję również, że mnie pan zrozumie lub stanie po mojej stronie.... Monika Llopis była złą kobietą, prawdziwą suką.

W profesorze obudziła się bestia.

– Ale powiedział pan...

– Tak, wiem, co powiedziałem – odpowiedział. – Dzięki niej dostałem pracę. Sprawy przybrały jednak inny obrót, kiedy jedno z badań zaczęło podążać w dobrym kierunku, ale wbrew interesom Llopis.

– Fharma.

– Tak jest – potwierdził. – Ten łajdak Maciá, synalek tatusia ze smykalką do biznesu, nie miał skrupułów, aby wykorzystać Monikę i nakłaść jej bzdur do głowy. Monice nie brakowało pewności siebie, ale miała słabość do złych mężczyzn. Maciá jest typem szowinistycznego uwodziciela, który potrafi zakręcić kobiecą psychiką jak bączkiem.

– Był pan zazdrosny? – zapytałem.

Doktor pochylił się do przodu i zaczerwienił.

– Zawsze kochałem Monikę i troszczyłem się o nią – odpowiedział tłumiąc uczucia. – Wiedziałem, że bez wzajemności, ale nie mogłem pozwolić, aby zaprzepaściła moje badania – projekt, który mógł uratować życie tysiącom ludzi.

– Który Maciá chciał przejąć i sprzedać branży farmaceutycznej.

– Dokładnie – odpowiedział. – Oszukiwała jego, mnie, wszystkich. Sfałszowała wyniki testów końcowych, aby zrobić prezent temu gnojkwowi. Naciskała i przekupywała każdego. Nie chciała, aby wyniki ujrzały światło dzienne. Tyle lat naszej pracy! Życie ludzkie, Caballero! To badanie, to jedyna rzecz, która udała mi się w całej karierze pełnej błędów.

– Zdaje się, że Monika nie przejmowała się zbytnio uniwersytetem.

– Oczywiście, że nie... – powiedział. – Stanowisko rektora było tylko przepustką do zdobywania dalszych koneksji. Była zainteresowana karierą w polityce. Nie miała żadnych hamulców i równała z ziemią wszystko, co stało na jej drodze.

W pewnym sensie czułem empatię do siedzącego naprzeciwko mężczyzny. Monika z powodu swoich ambicji trafiła do trumny. Jednak, musiałem pamiętać, że naprzeciwko mnie siedział morderca.

– Co się stało z Botellą? – zapytałem. – Ta historia z tlenkiem węgla wydaje się dość podejrzana.

– Botella... – powiedział wzdychając. – Biedak zabrnął zbyt daleko. Nie miałem wyjścia.

– Jest pan szalony, Casavieja.

– Nie zrozum mnie źle, chłopcze – odpowiedział. – Botella nie cierpiał. Popelniał błąd dzieląc się ze mną swoim odkryciem. Miał obsesję na punkcie Macii i chciał jak najszybciej wsadzić go za kratki. Znalazł pewną niespójność pomiędzy analizami – trop, który doprowadził go do Macii. Musiałem powstrzymać Botellę zanim doszłoby do rozmowy, bo mógł mnie zdemaskować, tak jak pan to zrobił.

– Był pana przyjacielem.

– Przyjaźń to słowo próżne i abstrakcyjne... – odpowiedział profesor, siedząc zrelaksowany w swoim fotelu. – Nasza przyjaźń była interesowna. On robił wszystko z myślą o Monice i awansie w policji. W jego karierze od dawna nic się nie działo i gdyby odkrył, że to byłem ja, byłby pierwszą osobą, która przypięłaby sobie publicznie medal. Był biednym amatorem, a jedyne czym się przejmował, to opinią żony.

– To pan to wszystko uknuł, prawda? – powiedziałem przytomnie. Widziałem, jak wszystko powoli łączy się w logiczną całość. – Wizytówka restauracji, raport z nieznanym DNA, ciągła gotowość współpracy przy sprawie bez zbytniego wnikania. Wiedział pan, że jeżeli skoncentrujemy się na Hidalgo i Macii, będziemy mieć wystarczająco dużo pracy, oskarżymy niewinnego i w ten sposób podważymy naszą wiarygodność.

– Nawet nie wiemy, czy Llopis była z tymi mężczyznami... – odpowiedział z uśmiechem. – Pan i Botella, obaj, zachowywaliście się, jak dwa psy w poszukiwaniu kości.

– Musieliśmy w coś wierzyć – odparłem.

– Nie przewidziałem jednego – że taki kiepski dziennikarzyna jak ty, usiądzie na tym krześle – odpowiedział zmieniając ton głosu. – Zaskoczył mnie pan, Caballero. Rozwiązał pan łamigłówkę.

– Pan pójdzie do więzienia. Opublikuję tę historię i skończy pan za kratami – odpowiedziałem. Byłem zdenerwowany. Odczuwałem satysfakcję, choć wcale nie byłem pewien, czy już połknął haczyk.

– Nie wygra pan ze mną, Casavieja. Nikt nie wygra z Gabrielem Caballero.

– Widzę... odpowiedział, nie ruszając się z siedzenia. – Co zamierzasz zrobić? Napisać artykuł do twojego dziennika? Nie marnuj czasu.

– Nie docenia mnie pan.

– Gabriel, posłuchaj mnie i daj sobie spokój – powiedział patrząc mi w oczy. – Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, ale uwierz mi, nade mną stoją bardziej niebezpieczni ludzie. Twoja historia nigdy nie ujrzy światła dziennego. Prokuratura zamknęła sprawę raz na zawsze z powodu braku jakichkolwiek dowodów.

– Nadal mam kopię raportu lekarza sądowego.

– To tylko tania podróbka. Robota Llopis. – odpowiedział. – Nie zdziwiłbym się, gdyby znaleziono więcej takich kwiatków.

– Kawał sukinsyna z ciebie.

– Nie złość się na mnie. Rób, co ci się żywnie podoba, ale ja zostaję tutaj. Leć do ukochanej redakcji, o ile jeszcze nie urządzono w niej Starbucksa. Napisz artykuł i wyślij mi smsa, kiedy ma być opublikowany. Ale przemyśl to. Możesz odpuścić i uratować setki umierających pacjentów. Możesz również stracić mnóstwo czasu i zadać sobie wiele trudu, aby sprawa ujrzała światło dzienne. Ale wszystko to pójdzie na marne. Dowiesz się, co czuje osoba niesłuchana, zrozumiesz, jak zepsute jest to miasto.

Jechałem do domu, mając w ustach gorzki smak porażki. Profesor Casavieja nie otrul mnie – nie takie było jego zadanie. Musiałem niestety przyznać mu rację – ta historia, pomimo moich usilnych starań, nie miałaby dalszego ciągu. Bez zeznania Botelli nie miałem żadnej szansy. Casavieja zatarł wszystkie możliwe ślady, więc policja niewiele by znalazła. Wszystko okazałoby się kłamstwem, które mogło jedynie splamić honor służb. Prośenie Hidalga o pomoc też nie miało sensu, bo i tak by mi nie pomógł. Casavieja był w posiadaniu zbyt wielu dowodów, które mogły zrujnować karierę i życie mojego przyjaciela. Jeśli chodzi o Macię, to lepiej o nim zapomnieć. Został mi Ortiz, który zapewne był bardziej zainteresowany nowym stanowiskiem wykładowcy niż kombinowaniem z niewiarygodną wiadomością. Czuję się zdradzony przez wszystkich i nieszczęśliwy z powodu niemożności zakończenia tej sprawy. Miałem kolejną teczkę papierów, którą poszatkuje niszczarka w redakcji.

Gdy znalazłem się na wysokości fontanny placu Luceros, naszła mnie myśl, że lepiej zamknąć ten rozdział i spróbować uporządkować moje zaniedbane życie.

Nogi same pchały mnie aleją Federico Soto w okolice plaży. Zobaczyłem morze. Bliskość wybrzeża dodawała mi otuchy.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie chciałem wracać do mieszkania. Potrzebowałem odpoczynku – to było pewne. Nie mogłem doczekać się, kiedy położę się do łóżka i snów o powrocie Patrycji. Wiem, że o wiele prosiłem, ale nadal miałem nadzieję, że ją odzyskam. Tym razem nie składałbym pustych obietnic. Sprawa Llopis była zakończona i nabrałem przekonania, że nie ma sensu do niej wracać. Po raz kolejny prawda uległa brutalnej rzeczywistości i władzy. To jednak nie powód, aby

się obwiniać – nie miałem ani wystarczających środków, ani wsparcia, aby coś z tym zrobić.

– Innym razem, przyjacielu – powiedziałem sam do siebie, stojąc na czerwonym świetle. Spiker Radio3 puścił piosenkę Burning Co robi taka dziewczyna, jak ty, w takim miejscu. Patrzyłem na przechodniów przez przyciemniane szkła okularów przeciwsłonecznych i wtedy zobaczyłem ją...

Kobietę fatalną.

Nie mogłem dać wiary. Serce mi waliło. Chciałem, aby światło zmieniło się na zielone i bym mógł odjechać na pełnym gazie.

Zawsze problemy.

To była Patrycja. Szła, trzymając za rękę wysokiego, opalonego chłopaka w okularach pilotkach.

Z nerwów zakulo mnie w żołądku.

Kobieta fatalna...

Patrycja mnie nie zostawiła. Zamieniła mnie na wyższego, bardziej opalonego, i być może bogatszego faceta. Było to najdłuższe czerwone światło w moim życiu.

„Świat jest pełen Patrycji” – powiedział Hidalgo.

Być może mój przyjaciel miał rację. Świat, mój świat, kręcił się wokół Patrycji, a ona roztrzaskała go na kawałki. Swoją decyzję na pewno podjęła dużo wcześniej. Istnieją wartości, którymi zawsze żyłem, a których do końca nie pojmuję – jedną z nich jest lojalność. Dorastałem w świecie idealnym, w którym wierność partnerowi miała swoje znaczenie. Teraz żyję w świecie nowoczesnym, który dopuszcza zerwanie związku o dowolnej porze, w dowolnym miejscu.

Światło zmieniło się na zielone. Patrycja, stojąc na środku deptaka, pocałowała chłopaka, tak jak całowała mnie przez minione tygodnie, miesiące, lata. Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że nasze spojrzenia spotkały się. Jej twarz zeszywniała, a pocałunek stracił moc. Ale już było za późno. Nasz statek zatonął w otchłaniach morza i będzie, co najwyżej, gratką dla kolekcjonerów.

Dojechałem do domu. Przed otwarciem drzwi przez głowę przemknęła mi naiwna i głupia myśl – że wszystko to, co widziałem było tworem mojej wyobraźni. Prawda była jednak inna.

Mieszkanie zionęło pustką.

Kobieta fatalna. Moja dziewczyna – odeszła.

Patrycja zabrała wszystkie swoje rzeczy i to na zawsze.

19

W środę rano odwiedziłem redakcję. W rękach trzymałem trzystronicowy artykuł i pendrive'a z zapisanym plikiem. Miałem przeczucie, że jestem tu ostatni raz w życiu. Ten reportaż zamienił moje życie w ruinę. Jednak na przekór temu, co powiedział Casavieja, musiałem oddać ostatni strzał.

Rana, którą zadała mi Patrycja, nadal krwawiła i minie jeszcze sporo czasu zanim się zagoi. Postanowiłem, że znajdę sobie spokojne miejsce, z dala od gazet i redakcji, oddalone od miasta. Poszukam stabilnej pracy. Zerwę ze szkodliwym otoczeniem, rozwiązłością i nocnym życiem. Będę pracować jako copywriter lub tłumacz wiadomości prasowych. Każda praca, która powstrzyma mnie przed ulicą, będzie odpowiednim rozwiązaniem – pozwoli uporządkować życie i przywyknąć do nudnej codzienności i rutyny.

Wszedłem do redakcji i zobaczyłem twarze młodych, nieznanych mi ludzi. Pogubiłem się już w praktykantach, którzy z nami pracowali. Na miejscu ślicznej dziewczyny, która kilka dni temu zajmowała moje biurko, siedział młody blondyn z trądzikiem i okularami w rogowej oprawie na nosie.

– Dzień dobry – powiedziałem, ale nikt nie odpowiedział. Wszyscy siedzieli przed monitorami i stukali w klawiaturę, jak roboty. Łudzili się, że pewnego dnia zajmą miejsce szefa. Jeszcze kilka lat temu byłem jednym z nich i dałbym się zabić za historię, którą trzymałem w rękach.

Delikatnie zapukałem do drzwi. To była dość kłopotliwa sytuacja.

Rozstania są trudne.

– Wejść – powiedział Ortiz. Popchnąłem drzwi i zobaczyłem go przed komputerem. – Przyjacielu, Caballero. Co tam masz dla mnie?

– Obietnica to dług, który należy spłacić – powiedziałem i wręczyłem mu kartki. – Jestem słownym człowiekiem.

Szef przez kilka minut czytał artykuł. Nie odezwał się ani słowem, aż dotarł do końca ostatniej strony.

– Cholera, Gabriel – zwrócił się do mnie po imieniu, co rzadko zdarzało się w naszej relacji. – To jest cholernie dobre... to najlepsza rzecz, jaką czytałem w ostatnich latach.

– Naprawdę? – spytałem z lekkim niedowierzaniem. – Myślałem, że już nic cię nie obchodzi.

– Muszę przyznać, że wykonałeś kawał porządnej roboty – odpowiedział. – Masz styl, odwagę i zadatki, aby zostać przyzwoitym reporterem.

– Więc, co? Opublikujesz to?

– Obawiam się, że nie, Caballero – odpowiedział i odłożył kartki na biurko. Następnie spojrzał na mnie ze współczuciem. – Odwiedziła nas ostatnio policja. Wezwał mnie komisarz. Czekają na nowego zastępcę inspektora i nie życzą sobie publikowania kolejnych bzdur o zmarłych osobach, ani o Llopis, ani o Botelli. Przykro mi.

Casavieja miał rację. Moją tajemnicę zabiorę ze sobą do grobu, bo nikt nie będzie chciał poznać prawdy.

– Rzucam pracę, Ortiz – odpowiedziałem. – Odchodzę z redakcji.

– Obraziliś się, Caballero?

– Nie. Mówię poważnie – odpowiedziałem. – Dziękuję za wszystko, byłeś dobrym szefem.

– Hejże... Poczekaj! – wykrzyknął. Ale było już za późno. Zamknąłem drzwi z hukiem i ruszyłem w poszukiwaniu baru, w którym zamierzałem spędzić resztę dnia. Było południe, cały dzień przede mną. Może właśnie nadszedł czas, aby zabrać się za książkę, którą chciałem napisać? Przeszedłem kilka metrów i wyjąłem telefon. Miałem nieodebrane połączenie od Patrycji.

Wyświetliłem listę kontaktów i zmieniłem jej imię na „nie odbierać”.

Telefon niespodziewanie zawibrował. To był Hidalgo.

– Tak?

– Gdzie się włóczysz? – zapytał przyjacielskim tonem. Wyzułem, że coś się wydarzyło.

– Właśnie rzuciłem pracę – odpowiedziałem. – Patrycja odeszła, zdradzała mnie z innym. Zamierzałem upić się w barze.

– Rety, jesteś facetem z zasadami – odpowiedział głupkowskim tonem. – Cieszę się, że złapałem cię jeszcze trzeźwego. Miałbyś ochotę na aperitif ze mną?

– Jeśli stawiasz, to pewnie – odpowiedziałem. – Nie stać mnie na miejsca, w których bywasz.

Hidalgo zachichotał.

Hidalgo siedział blisko molo, na tarasie Noray – ulubionego baru miłośników podglądania cudzych jachtów – pił dżin z tonikiem i plasterkiem cytryny. Wyglądał na zrelaksowanego, jak gdyby – pomimo całego wiadra pomyj, które na nas wylano – życie toczyło się normalnie.

Usiadłem na aluminiowym krześle. Podeszedł kelner.

– Co podać?

– Wermut – zamówiłem – w szerokiej, niskiej szklance, dużo lodu, porządnie schłodzony i z oliwką.

– Zrozumiałem. Coś jeszcze?

– Tak – odpowiedziałem. – trochę lubinu, jeśli można.

Kelner odszedł. Twarz Hidalgo była rozpromieniona i pasowała do żółtego polo, które miał na sobie.

– Jesteś wyjątkowy, Gabriel – powiedział, trzymając drinka w dłoni. Na mój gust, nie był to dzisiaj jego pierwszy dżin z tonikiem. – Zupełnie jak postać z powieści

– Hidalgo... – zacząłem. Kelner przyniósł moje zamówienie. – Cholera, dał mi pan dwie oliwki, a prosiłem o jedną.

– Spokojnie przyjacielu – odpowiedział Antonio. – Wyrzuć jedną i po sprawie.

– A ty, dlaczego jesteś taki zadowolony?

– Bo zmęczyłem się ciągłym niezadowoleniem.

– Cieszę się, że jesteś w dobrym humorze – odpowiedziałem szczerze. – Tak naprawdę, to przyszedłem przeprosić cię za wszystko, co nawyrabiałem. Mam wrażenie, że życie odplaciło mi się w dwójnasób.

– Przeprosiny przyjęte – odpowiedział, uśmiechając się. – A jeśli chodzi o to, co się wydarzyło, to nie ma co się przejmować. Takie jest życie... Zacznesz się nim rozkoszować, gdy tylko zaakceptujesz swoje niedoskonałości, Gabriel.

– Bóg daje i zabiera – odpowiedziałem szyderczo. – Przynajmniej poznałem zakończenie całej tej historii.

– Nie chcę tego słuchać – powiedział i napił się dżinu. – Wolę nic nie

wiedzieć.... Przy okazji, miałem powód, aby spotkać się z tobą tutaj.

Nie podobało mi się to, co powiedział. Zapowiadało rozstanie.

– Jeśli ci chodzi o posadę wykładowcy, to się nie przejmuj – powiedziałem. – Zrozumiem, jeżeli nic się dla mnie nie znajdzie.

– Jak już wiesz, Gabriel – wyjaśnił – pewnie zostanę rektorem... A to oznacza, że nie mogę być dłużej bohaterem historii trzymających w napięciu, ani skandali, ani nocnych balang, wiesz, co mam na myśli...

– Trochę relaksu od czasu do czasu jeszcze nikomu nie zaszkodziło, Antonito...

– Nie – zawyrokował. – Musimy przestać widywać się przez jakiś czas. Nie bierz tego osobiście. Chodzi o to, że będą ode mnie wiele wymagać i muszę stanąć na wysokości zadania. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Antonio zrywał ze mną. To smutne jak pieśń fado.

– Ależ nie, nie rozumiem, ale jeśli tak chcesz... Nie będę się sprzeciwiał.

Hidalgo podniósł szklanke i zachęcił mnie do toastu, który kończył pewien etap: naszą przyjaźń.

20

Nasza długoletnia przyjaźń zobowiązywała do porządnego jej zakończenia. Czy był lepszy moment na pożegnanie, niż uroczystość zaprzysiężenia na rektora?

Był to niezwykle dzień, pierwszy czerwca, słoneczny i upalny jak diabli. Nie miałem w zwyczaju nosić marynarki, a już zwłaszcza w takich temperaturach. Nie przeszkodził mi brak zaproszenia i pojawiłem się w auli Universidad de Alicante obok innych gości. Wcale nie było mi łatwo wracać tam po dwóch najokropniejszych tygodniach w moim życiu. Nadal przed oczami miałem obraz Botelli, spektaklu w auli po śmierci Llopis i spojrzenia Macii na parkingu. Spotkaliśmy się tam wszyscy, tak jakby nic się nie stało – te same twarze co ostatnio – ci sami ludzie wynosili Hidalgo na urząd rektora uniwersytetu. Wice rektor Ramírez w galowym stroju, prezydent Generalidad Valenciana – zaspany i błądy z przejęcia. Usiadłem w jednym z foteli i przyglądałem się Hidalgu ubranemu w garnitur, eleganckiemu i uśmiechniętemu od ucha do ucha. W oddali dostrzegłem Macię siedzącego obok atrakcyjnej, starszej o kilka lat od niego kobiety. A więc dojrzałe kobiety też leciały na niego? Młody biznesmen był jak worek pełen niespodzianek. Brakowało mi tylko doktora Casavieja. Omiotłem salę wzrokiem, szukając jego twarzy, ale na darmo. Zniknął albo po prostu nie miał tam czego szukać.

Ceremonia przebiegła bez zakłóceń. Hidalgo wygłosił płomienną mowę nagrodzoną oklaskami studentów i pracowników. Podeszedłem, aby mu pogratulować. Nie przejął się zbyt moją obecnością.

– Przypuszczam, że to koniec naszej przyjaźni – powiedziałem, ściskając mu dłoń. – Życzę ci szczęścia, przyjacielu.

– Zostań dłużej – odpowiedział. – Napij się piwa, choćby to miało być

ostatnie.

Przychyliłem się do prośby i przecisnąłem się pomiędzy gośćmi do stołu z aperitifami.

– Mogę ci towarzyszyć? – usłyszałem zachrypnięty głos.

– Co za niespodzianka, Ortiz – odpowiedziałem. – Cieszę się, że cię widzę.

– Ty też tu nikogo nie znasz? – zapytał wesoło. – Nadchodzą niezwykle czasy, Caballero...

Ortiz wziął butelkę piwa i wznieśliśmy toast.

– Za przyszłość.

– Zdrowie – powiedział i wziął duży łyk. Jego grdyka wędrowała w górę i w dół. – Powiedz mi jedną rzecz... Kiedy zamierzasz wrócić do redakcji?

To pytanie wywołało uśmiech na mojej twarzy.

– Już ci powiedziałem, Ortiz – odparłem. – Nie mam zamiaru wracać.

– Wiedziałem. Zaczynasz się wahać – odpowiedział z entuzjazmem. – Wiesz? Próbowałem pociągnąć za sznurki i pokazałem twoją historię tu i tam... Oczywiście, choć to smutne, reportaż spotkał się z odmową, mimo że podobał się wielu udziałowcom. Ja na twoim miejscu zachowałbym go do tej książki, którą zamierzasz napisać, może cię natchnie.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – odpowiedziałem. – Wezmę to pod uwagę... Mogę ci zadać jedno pytanie? Osobiste, niezwiązane z pracą.

– Strzelaj, Caballero.

– Zakłada się, że zajmujemy się dziennikarstwem, że naszym obowiązkiem i powinnością jest przekazywanie prawdy – wyjaśniłem. – Jednak, kiedy już do niej dotrzemy, nie możemy podzielić się nią z innymi, ponieważ klóci się to z pewnymi interesami. Więc, jaki to ma sens?

– Oj, Caballero – odpowiedział protekcyjnym tonem doświadczonej osoby. – Z czasem w tym zawodzie nauczysz się rozróżniać to, co prawdziwe od tego, co prawdopodobne... Możesz opowiadać prawdę całemu światu, ale jeśli nie będzie wiarygodna, nikt cię nie wysłucha... Spójrz na te wszystkie powieści o detektywach i policjantach, niech mnie diabli... Czy są wiarygodne? Oczywiście, ale... czy prawdziwe? Jasne, że nie. Jednak ludzie w nie wierzą, przeżywają... i to się sprzedaje. W ciągu wielu lat przeczytałem zbyt wiele historii, które nigdy nie ujrzały światła dziennego. Jestem pewien, że nawet gdybyśmy je wydrukowali, to nikt by nam nie uwierzył.

Refleksja Ortiza była bezcenna. Prawda kontra prawdopodobieństwo.

Dwa pojęcia, które napiętnują przyszłość dziennikarstwa zhańbionego przez internet, plotki i wiadomości z wątpliwych źródeł.

Niespodziewanie stanął przed nami Maciá. Ortiz przyjrzał mu się od stóp do głów, co Maciá zignorował całkowicie i podszedł do mnie.

– Co za widok, Caballero – powiedział, trzymając w ręku kieliszek cavy. Jego towarzyszka przyglądała mi się ciepło, ale oficjalnie. Olśniewała urodą. Blond włosy do ramion, oczy niebieskie jak dwa drogocenne kamienie i sportowa sylwetka ukryta pod spódnicą i żakietem, sprawiały, że była prawdziwym obiektem pożądania.

– Gabriel Caballero – powiedziałem i podałem dłoń. Kobieta odwzajemniła przywitanie. Na serdecznym palcu dostrzegłem pierścionek z brylantem.

– Miło mi – odpowiedziała z obcym akcentem. Nie przedstawiła się jednak. Ten szczegół zwrócił moją uwagę. Posłała mi uśmiech, który zdobył moje serce. Jej zapach – słodki i delikatny – sprawił, że na chwilę zapomniałem o Patrycji.

– Mam nadzieję, że nie będę oglądać cię przez pewien czas – odpowiedział Maciá, kładąc kres magicznej chwili.

– Odchodzi pani bez przedstawienia się – nalegałem. Wpadłem w jej sidła.

Uśmiechnęła się pewna siebie.

– Na pewno jeszcze się spotkamy, panie Caballero.

Odeszła z Maciá w rytm postukujących obcasów. Razem z Ortizem przyglądaliśmy się jej nogom, którymi poruszała jak w teatralnej sztuce.

– Znasz tę kobietę? – zapytałem Ortiza.

– Wcale, choć nie miałbym nic przeciwko – odpowiedział. – Takie kobiety, Caballero, to wyższa liga.

Ortiz nie wiedział, że dla mnie miłość nie znała granic.

– A tak swoją drogą, wracając do tego, o czym mówiłem... – dodał Ortiz, wkładając do ust kanapkę – jeśli wrócisz do biura, dam ci podwyżkę i pełną swobodę w rubryce kryminalnej.

– Boże, a to mi nowina – odpowiedziałem zaskoczony. To był gruby żart. – Skąd nagle takie zainteresowanie?

Ortiz poprawił wiązanie krawata.

– W redakcji mamy teraz samych niedoświadczonych stażystów – wyjaśnił. Potrzebuję kogoś do zespołu, a gdy mnie zabraknie, kogoś kto mnie zastąpi i nie pozwoli, aby wszystko poszło na marne... Antonio, ten z

archiwum, odchodzi w tym roku na emeryturę i prawdopodobnie zatrudnimy jakiegoś praktykanta, żóltodzioba. Dzięki temu mamy środki, no wiesz... Ci z góry dali mi wolną rękę, i dopóki jeden z nas nie zostanie Hemingwayem, myślę, że możemy to ciągnąć razem.

– Ten plan wzbogaci naszą profesję.

– Nie bądź taki, człowieku – wycodził przez zęby. – Pograża nas darmowa treść w sieci, a jak wygląda sprzedaż wersji drukowanej, to sam wiesz...

– Tak, to nie dla ciebie – powiedziałem. – Nie jest łatwo iść pod prąd.

– Dobra. Przemyślisz to?

Upilem łyk piwa i zapamiętałem słowa Ortiza. Będę musiał przemyśleć sporo spraw w najbliższym czasie.

21

Podczas gdy w auli uniwersyteckiej trwał koktajl powitalny na cześć nowego rektora, Ramiro Casavieja w swoim gabinecie pakował rzeczy do pudła. Mężczyzna, miotany rozterkami, chwycił telefon, wyjął wizytówkę Pharma S.A i wybrał numer.

– Tak? – odezwał się z drugiej strony Antonio Maciá. W tle słychać było odgłosy przyjęcia. – Słucham?

Casavieja wziął głęboki oddech.

– Antonio Maciá, nazywam się Ramiro Casavieja – odpowiedział – kiedyś się spotkaliśmy...

– Casavieja? Moment, źle pana słyszę... – odpowiedział. W słuchawce słychać było odgłos kroków, wrzawa powoli ucichła. Maciá wyszedł na zewnątrz budynku. – Słucham, Casavieja, w tej chwili jestem na uroczystości...

– Wyniki, które dała panu Monika Llopis są fałszywe. Mam dowody, że testy wyszły pozytywnie, a to oznacza, że ma pan kłopoty.

– Rozumiem... – powiedział Maciá. – Co moglibyśmy zrobić, aby spawy potoczyły się po naszej myśli?

– Przelew na numer konta, który panu prześlę – powiedział doktor. – Dwieście tysięcy euro.

– To dużo pieniędzy.

Doktor przełknął ślinę. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Obiecuję, że nie skompromituję pana – powiedział ściszym głosem.
– Znam wszystkie przekręty, które mają miejsce na uniwersytecie. Nie jestem zainteresowany wtrącaniem się w pańskie sprawy, panie Maciá...

– Skąd mam mieć pewność, że już nigdy o panu nie usłyszę? –

powiedział chłodnym głosem biznesmen.

– Proszę się nie martwić, nie mam żadnego innego interesu – powiedział ponownie Casavieja. – Zależy mi tylko na emeryturze.

– Wkrótce się odezwę – odpowiedział. – Teraz muszę pana przeprosić.

Czasami rzeczywistość przypomina bęben pralki, kręcąc się w koło i w koło. W pewnym momencie program kończy się, ubranie jest czyste, ale zmięte i trzeba poczekać, aż wyschnie. Tak właśnie się czułem. Jak czysta koszula, pognieciona przez wzloty i upadki ostatnich dni. Jako jedyny trafiłem do bębna. Hidalgo wywinął się. Został rektorem, osobą publiczną, za pan brat z elitą polityczną. Zawsze podobały mu się restauracje z widokiem na morze, sztucce do ryby i białe obrusy. Razem z Macią – gdy tylko maszyna zacznie przynosić zyski, które zaspokoją ich potrzeby – szybko zapomną o dzielących ich różnicach. Ku mojemu zdziwieniu nigdy więcej nie slysano o doktorze Casavieja. Zniknął z powierzchni, jakby pochłonęła go ziemia. Zbrodnia? Samobójstwo? Postanowiłem zamknąć ten rozdział, tak jak on sam mi radził i zapomnieć o wszystkim. Z tego całego zamieszania wyciągnąłem jeden wniosek: wszyscy oni, bez wyjątku, byli bandą podłych sukinsynów. Ortiz był starym wyjadaczem, który wiedział, co robi i co mówi – i miał rację. Czasami lepiej nie zadawać się z sąsiadem, bo nigdy nie wiesz, jakie ma problemy.

Po definitywnym odejściu Patrycji, musiałem zdecydować, co zrobić z moim życiem. Nasz apartament był zbyt drogi jak na moją kieszeń. Przeprowadziłem się więc do mieszkania mojego ojca, które odziedziczył po swojej ciotce, a które znajdowało się na tej samej ulicy. Była to stara rudera pełna wyblakłych obrazów i obrusów z ceraty. Koniec z meblami z Ikei, które tak bardzo podobały się Patrycji. Koniec z prostotą, ładem i dwudziestocalowym telewizorem. Koniec z lodówką pełną niepotrzebnych produktów. Pożegnałem się ze wszystkim, oprócz Patrycji. Nadal żywiłem do niej urazę z powodu złamanego serca.

Do rodzinnego mieszkania przenieśliem się kilka dni po zaprzysiężeniu

rektora. Musiałem opłacać jedynie czynsz i comiesięczne faktury. W mieszkaniu ciotki zachowały się meble, które zakupiono jeszcze za czasów Franco. Nie zwracałem na to uwagi. Zależało mi jedynie na miejscu do spania i uporządkowaniu mojego życia.

Przyjąłem ofertę Ortiza ponieważ nie miałem zbyt wielkiego wyboru: albo powrót do redakcji, albo do domu rodziców. Obiecałem sobie, że zostanę osobą szanowaną, z zasadami, z których będę dumny i idącą przez życie z podniesionym czołem. Zawiodłem wszystkich, a o sobie całkowicie zapomniałem.

Zła passa minie. Niedługo zacznie się mundial, uzdrawiające lato, w trakcie którego odzyskam wszystkie pocałunki skradzione przez Patrycję i przeżyję mnóstwo przygód.

Nie mogłem zasnąć podczas pierwszej nocy spędzonej w mieszkaniu. Wspiąłem się na najwyższe piętro budynku i wyszedłem na taras. Panowała ciemność. Wszyscy odpoczywali w swoich domach. Świeży, nocny wiatr hulał pomiędzy sznurkami rozwieszonego prania sąsiadów. Podeszedłem aż do gzymsu i oparłem się o murek. Wyjąłem zgniecionego papierosa i zapaliłem. W oddali widziałem światła zamku Świętej Barbary, arenę do walk z bykami i iluminację Mercado Central. Alicante, hiszpańskie San Francisco na brzegu Morza Śródziemnego. Moje pory roku, moja teraźniejszość, przeszłość i przyszłość.

W duszy czułem się spełniony, ożywiony – pomimo tego wszystkiego, co przeżyłem, nieświadom piekła, w które się pakowałem – nieugięty wobec ciosów, które niespodziewanie zadaje nam życie. Założyłem, że takie są reguły gry i nie było innego wyjścia, jak pokornie je zaakceptować. Bo, jak mawiał Seneka, kto chce żyć wśród uczciwych, niech uda się na pustynię.

23

Po południu, 3 czerwca, nowy inspektor Wydziału Zabójstw policji Alicante wszedł do dawnego gabinetu Andresa Botelli w budynku Komendy Głównej Policji, w dzielnicy Benalúa.

Mężczyzna był wysoki, krótko ostrzyżony, korpulentny i wysportowany. Ubrany był w mundur, białą koszulę i krawat. Na środku piersi miał przypiętą odznakę, a po lewej stronie odznaczenia. Inspektor podszedł do pudełka ze swoimi rzeczami. Wyjął oprawione w ramkę zdjęcie kobiety o kręconych blond włosach, przytulającej dziecko i postawił je na biurku.

Przeciagnął palcem wskazującym po jednym z mebli i sprawdził ilość kurzu.

Obrócił się, gdy w drzwiach pojawiła się kobieta.

– Witamy, inspektorze Rojo – powiedziała, uśmiechając się serdecznie. – Czy mogę panu w czymś pomóc?

Mężczyzna zamyślił się.

– Tak, oczywiście – odpowiedział. – Czy mógłbym prosić o dzisiejszą prasę?

– Oczywiście – odpowiedziała zaciekawiona. Zniknęła i po kilku sekundach wróciła z egzemplarzem dziennika Las Provincias. – Proszę bardzo.

Inspektor podziękował i otworzył gazetę w połowie. Jak polujący ptak przewracał strony, czytał nagłówki, aż dotarł do rubryki kryminalnej. W górnej części kolumny znajdowała się czarno-biała fotografia Gabriela Caballero.

– Caballero... – wyszeptał. Wyjął długopis z kieszeni koszuli i zapisał nazwisko na kartce. – Nareszcie się poznamy.

Inspektor przyjrzał się jeszcze raz twarzy dziennikarza, zamknął gazetę i odłożył na biurko.

Czytelniku!

Spodobała Ci się ta książka?

[Śledź dalsze losy Gabriela Caballero na stronie:](#)

autornia.com

[Podziel się opinią z innymi czytelnikami w serwisie:](#)

lubimyczytac.pl

[Dziękujemy!](#)

O AUTORZE

Pablo Poveda (Cartagena, 1989) jest dziennikarzem, pisarzem i miłośnikiem dobrego życia. Jako nastolatek grał w zespole rockowym, wydał jeden singiel i kilka piosenek. Występował w MTV, pojawił się w czasopismach, gazetach i spał w eleganckich pokojach hotelowych. Później odłożył gitarę i skupił się na pisaniu powieści w stylu Raymonda Chandlera, Ernesta Hemingwaya i Patrycji Highsmith. Między kolejnymi rozdziałami podróżował przez kilka lat po Europie, zamarzył w Morzu Bałtyckim i porzucił konwencjonalną pracę w biurze, by zrealizować swoje literackie marzenie.

Przeznaczenie poprowadziło go przez wiele miejsc, ale ostatecznie trafił do Warszawy. Pewnej nocy przechadzał się samotnie po ulicy, śnieg prószył, a on wsłuchiwał się w dobiegający z baru utwór Coltrane'a. Pięć lat później wrócił do Hiszpanii. Zamieszkał na krótko na śródziemnomorskim wybrzeżu Costa Blanca. W 2018 roku przeprowadził się do stolicy Hiszpanii i jest dwukrotnym finalistą Nagrody Literackiej Amazon, dzięki tytułom „Sobowtór” (2018) i „Tajemnica rodziny Fonseca” (2020).

Napisał ponad dwadzieścia powieści, a tysiące egzemplarzy jego książek znalazły czytelników w Hiszpanii oraz Ameryce Łacińskiej i rozślawiło jego kryminalne historie na całym świecie. Jest minimalistą i w podróż zabiera tylko niezbędne rzeczy: dobrą książkę, notatnik i okulary słoneczne. Fascynuje go Morze Śródziemne, tajemnice, ludzie, którzy mają coś wartościowego do powiedzenia, podrzędne drogi i wałęsanie się po tradycyjnych barach i klubach jazzowych Madrytu.

Kontakt: hola@autornia.com

